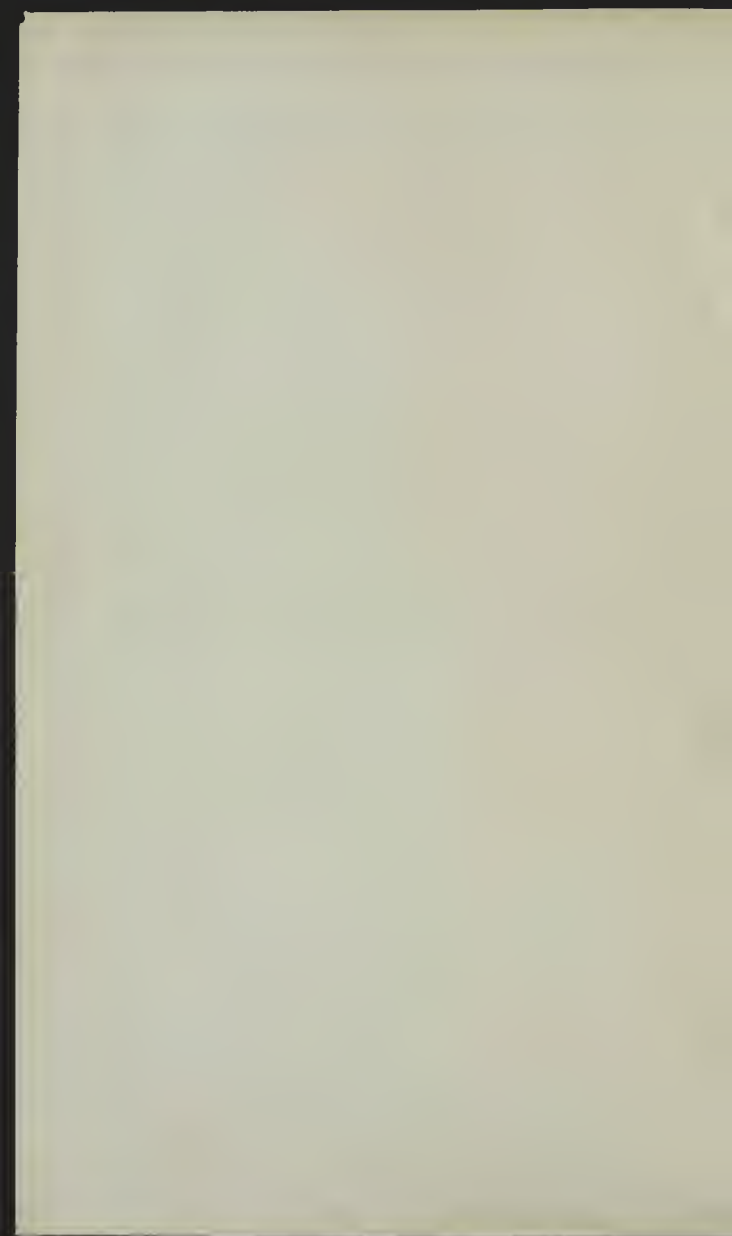






• 1340



OSTAP
BONDARGZUK.

卷之二

論學問之要

O S T A P
BONDARGZUK.
P O W I E Ś Ć

PRZEZ

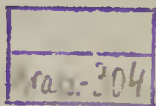
J. I. Kraszewskiego.



W I L N O.

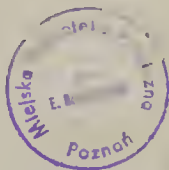
NAKLADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1847.



Drukować wolno z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby exemplarzy. Wilno, dnia 31. Października 1846 roku.

Spraw. Obow. Cenzora Radca Dworu i Kawaler
A. Muchin,



WIKTOROWI KAŻYŃSKIEMU

na pamiątkę chwil spędzonych z nim w Wilnie,

przesyła

AUTOR.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF

CHARLES

THE FIRST

OF

ENGLAND



I.

BYŁO to świeżo po owym roku klęsk, roku pamiętnym w dziejach świata — 1812 — w naszym kraju także na długo pozostawił on ślady po sobie; na ziemi gruzem i popiołem, i mogiłami, na duszach nie jednym zawodem, nie jedną stratą boleśną. Po wielkiem przesileniu była chwilka ciszy, odrętwienia, spoczynku przed nowemi burzami.

Wojska nowego Alexandra, nowego Cezara przelały się w serce północy, i odpłynęły nazad w pół zmarzłe, w pół na duszy zrozpaczone; a kędy przesun-

nęła się wojna, gdzie przeszli z orężem w rękę ludzie gnani wolą zdobywcy, pozostały po nich drogi jak po burzy lub szarańczy.

Pustkami smutnemi stały wielkie części kraju. Mieszkańce odbiegli swoich sadyb, panowie swych pałaców, każdy się tulił pod mury wiejskie, w głąb lasów szukając bezpieczeństwa. Nie jedna wieś stała pustką lub zgłiszczem, nie jeden dom szlachecki świecił wybitymi okny, nie jedno pole stratomane obozowiskiem, odłogowało nie zasiane.

Straszna to klęska wojna! W lat tysięcy, gdy porozumnieją ludzie i godność swą ocenić potrafią, gdy pojną nareszcie, jak dziwnie zwierzęcém rozwiązaniem wszelkiego sporu, jest uciekanie się do siły pięści, do walki ciał; boje naszych czasów służyć tylko będą poetom za temata do strasznych, a niepojętych już wnukom i prawnukom obra-

zów. Nie jeden czytając opisy krwawych bojów całych narodów, przeciw całym narodom, zawoła w duchu. O cóż to za dzikie, barbarzyńskie były czasy!

I przez Wołyń nasz, ciągnęły części potężnej Napoleona armij, i tu ślady przechodu pozostały po nich.

Spójrzmy na tę wioskę w dolinie, między dwóma pagórki leżącą.

Jeden z tych wzgórzów okryty dębowym laskiem, co się jeszcze nie rozwinął, drugi nagi i pokrajany w zarosłe już trawą skiby, lekko schodzą oba ku ziclonej łące, co się pozłociła kwitnącą lotocią. Po nad rozlaną jeszcze na mnogie kałuże rzeczulką, przechadzają się poważnie czerwono-nogie bociany, polatuje czajka piskliwym odzywając się głosem, bładzą cyranki szukając zakrytego trzciniami źródliska. Po nad łąką i rzeczulką spuszcza się z przeciwnego

lekko pochylonego wzgórką, plody ogrodów wiejskich, podgradzane plotami od siebie, gdzie indziej ocienione białą od kwiatu gruszą starą lub wypruchniałą wierzbą. Ale ogrody te jeszcze nie skopane, rzadko który czarną się okrył odwróconą darnią, większą część przeszloroczne zeschłe, pogieęte zasłaniają bodjaki, bziki złamane od śniegu i lody kukuruzy lub powywracane kaczanym kapusty. Ku górze stoją chaty, każda przeciw swego ogródka. Chata wołyńskiego chłopka, warta jest zastanowienia do prawdy. Nie dziwię się ja wcale zasadnej, z okrągłych bierwion na mech pobudowanej, chacie Poleszuka, pokrytej dranicą; na tęgich podwalach, o silnych krokwiach. Tu nie wiele sztuki potrzeba było na zrobienie domku, przy dostatku wszystkiego, co ku temu potrzebne. Z trochę starania, z tegoż drzewa dałoby się coś jeszcze porząd-

niejszego, a przynajmniej kształtniejszego stworzyć. Ale na Wołyniu, gdzie często całe wsie różgi lasu nie mają, gdzie o materiał tak trudno, chata wieśniacza równie jest kunsztowną i ciekawą, jak lepianka w stepie Bessarabskim. A i tam, to morzem, to Dniestrem przyjdzie czasem kawał drzewa, i większa za-
możność ludu, daje mu śródtek naby-
cia, i kamień wszędzie prawie zastępuje
drzewo. Tu nie z tego. Chata w bez-
lesiu buduje się Bóg wie jak i z czego.

Osobliwsza też ta zaprawdę budowa! kilka krzywych dębowych lub osiko-
wych słupków podpierają ją po bokach.
Beleczki, cohy ich Poleszuk nie wziął
na krokwie, beleczki brzoźowe, osiko-
we chude, krzywe, powyginane, służą
za podstawę dachu. O krokwiach nicma
co i mówić, są to z kory tylko obrane
patyki osieczyny, zawieszane nieforemnie
a tak dalekie od linii prostych, że dach

cały, gdy słoma się złączy, jeży się pagórkami i doliny. Łatwo też na nim stać w wodzie deszczowej i prędko bardzo mech z początku brunatny, potem żywój zieloności, wieńczy przegniłą lepiankę. Ściany zarzucają się najrozmaitszego drzewa polanami; i nie myśleć im wcale o foremności; ciosać nicma z czego, ułożyć się krzywe nie da prosto, często też i najczęściej w górze się wydmie, u dołu wklęsnie cierniuchna zaporą, całą rodzinę rozdzielająca od zimowych niepogód i dojmujących wichrów. Zewnątrz i wewnątrz grubo wylepiona glina, osmarowywana co roku, ogrodzona przyźbą ziemią lub gnojem napelnioną; przecięta malcúkiem okienkiem; nad którym wisi kawał zwiniętej maty, chatka wieśniacza, trwa jednak długie lata; ale jakże smutna jój zgrzybiałość.

Nie prędko chłopiek pomyśli o nowój, bo mu o nią wielce trudno. Pleciony ko-

minek pałkami już tylko odartemi z chróstu i gliny sterczy nad nią; dach połamiał się, pozapadał, zazielenił od mchu i porósł trawami i zbożem; z jednej strony pochylił się, aż go drągiem podeprzeć musiano, z drugiej zsunął aż na ściel. Nic to! Ściany wpadły głęboko w ziemię, tak że okienko siadło na przyźbie; słupy porozchodziły się na różne strony, drzwi ukosem się otwierają, przecież chata jeszcze mieszkalna. Nieraz dach runie, ściana się wywali, na jedno niby nie patrzą, drugie podeprą i tak, aby dalej, aby dalej. Ciężko bo też to pobudować chatę w bezlesiu. Cóż dopiero inne budowle, kiedy taka chata. Gumno korzysta z plecionego płotu i jedną ścianę oszczędzając, ku niemu się przyparło, — chlewek korzysta z chaty i do niej się przytulił, szopka korzysta z chlewka i tak dalej. To też kiedy iskra wyleci nad dach, niema już ratunku,

wszystko płonąć. A gdy spłonie, dopieroż z musu trzeba pomyśleć o nowém.

Chata, którąście widzieli zgrzybiałą już i setnią staruszką, wcale inaczej wygląda gdy nowa, a zwłaszcza kiedy gospodarz całą gębą gospodarzem; kiedy gospodyni dbała, a semja duża. Wylepiona, wybielona, omicciona, zdaje się ukrywać starannie, z czego się składa i rzeklbyś, że doprawdy, pobudowana z drzewa nie z kijów.

Po 1812 wieś nasza i jej chaty, wcale tak jednak nie wyglądały. Na wielkim położona trakcie, na wojsk przechodzie, wiedziała czego się ma spodziewać, i wieśniacy po jednemu, po dwu, potem kupami wybrali się na sąsiednie Polesie. Pan ze swego palacu daleko wprzód ustąpił.

Wieś, palac, zabudowania, pola, smutny teraz przedstawiały obraz, kilka chat z brzegów całkiem rozebranych:

sterczały niewyrwanemi słupy i rumowiskiem pieców czarnych. Ploty leżały na ziemi, ogrody okrywały chwasty i pokrzywy przeszłoroczne. Niektóre budowy niedogorzałe ze zwisłemi dachy, z wyłamanemi ścianami, zgasłe tylko zawierały ogniska. Stratowana ziemia, świadczyła o koniach, które w pobliżu stały. Szczątki kości wały się po drodze, krucy obrywali reszty ścierwa ze skeletów koni.

Głuche milczenie przerywane krakaniem ich panowało na wiosce. Mało jeszcze włościan popowracali, i z rzadkiej chaty kurzyło się, rzadka postać ludzka przesuwała się przez szeroką drogę śródkiem wsi wijącą.

W końcu osady był dawniej pałac pański. Zwał się on palacem, boć ten, co w nim mieszkał, zwał się grafem. Był to budynek piętrowy żółty, ze czterema kolumnami z frontu, z dwiema oficyna-

ni po bokach. Ode drogi oddzielały go sztachety w murowanych słupach i brama murowana wyniosła, z dwóma glinianemi wazonami na wierzchu. Teraz wojna wylała sztachety, słupy z tynków opadły i jedna część bramy runęła. I pałac w nielepszym był stanie.

Większej części okien brakło szyb, a nawet ram, niektóre zamykały się okiennicami, inne zabite były dylami, inne stały otworem dla wróbli i jaskółek. Jedna z oflicyn widocznie służyć musiała za stajnię, bo kupy przez okna wyrzuczonego gnoju, dobitnie o tém świadczyły; druga w połowie pusta, w połowie zajęta przez Rządzcę, nieco w lepszym była stanie.

Na froncie pałacowym, nie wiem jakim trafem, kula armatna, wybiła dziurę po nad samym splókanym herbem dziedzica. Jaskółki ulepiły gniazdko w téj pamiętce wojny.

Wewnątrz smutno wnijść było. Dach połamany przepuścił deszcz i tający śnieg, które strugami brudnej wody, płynęły na powybijane i powyrywane posadzki, na sztukaterje gipsowe, na malowane i mozajkowane ściany. Pałac opowiadał swoją historję. W sieniach postrzelane ściany, ruszona podłoga, zrabane drzwi. W pokojach kupy popiołu i węgla, krzesła wałaly się bez nóg, stoły leżały na ziemi, kominki czerwonymi nagimi świeciły cegłami. W jadalnej sali kilka familijnych obrazów posiekanych, pokiereszowanych, postrzelanych, bez nosów, bez oczu wisiały nieforemnie lub leżały na podłodze. Wielki billard odarty z sukna zarzucony był słomą; do zielonego sznura na którym wisiał pajak, uczepiono postronek urządzony na stryczek i widocznie używany, bo pod nim kałuża czarna, zaschła, dowodziła barbarzyńskiego pastwienia, nad kimś mo-

że niewinnym. Wszędzie pełno kości, zdartych papierów, zgasłych klaków od naboju, złamków mebli i sukicń. Na białych ścianach czarunym węglem zapisali żołdacy różnych narodów plugastwa szkaradne.

W gabiniecie fortepian pocięty był szablami, a na posadzce wałaly się białe klawisze, arfa strzaskana wisiała na kołku; puste ramy obrazów, zaciągnął pajak pracowity.

W bibliotece stały szafy puste, kilka tylko tomów rozstrzępionych, rozplasy się na ziemi, kilka kart wyrwanych biegały po kątach; splugawiona rycina ulepiała się na ścianie.

I wszędzie tak, wszędzie.

Nie poszanowano kaplicy, nie oszczędzono świętości. A ludy, co się pastwiły tak nad strzechą nieznanego; nie byli to barbarzyńce! O! nie! przyszli z ucywilizowanego zachodu, ale wojna roz-

beztwia. Wojna każąc człowiekowi nstawiać życia, pozwala mu wyrzec się też wszelkiego uczucia. Żołnierzowi wolno jest wszystko, bo jutro nie jego, a zapal się podobno podsyca swawolą??

Krucyfix kapliczny rozplątany był na dwoje, i podziurawiony kulami; na ołtarzu zrobiono żłób, w konfessjonale walała się reszta plewy.

W ogrodzie powycinane najpiękniejsze drzewa, zrabane mosty, zrzucone altany, i gdzieś tam tylko twarz bez nosa, rękę bez palców wyciągał z gałęzi i chwastu, stary posąg kamienny. Sadržawki zielona pleśń pokryła.

W oficynie pana Rządzcę, świeżo jako tako wyporządkonęj, parę pokojów zajmował pan Mrzozowski, który jak skoro się uspokoiło, ucichło; porzuciwszy żonę i dzieci w Lucku, sam do obowiązków powrócił.

Mógł jednak wybornie odpocząć, bo

niebyło, ani czego pilnować, ani co robić, ani kim robić. Ludzie wprawdzie powracali, ale musieli iść na zarobki, bo w domu nie było co jeść, nie było czém zasicwać, nie było czém orać. Ani chudoby, ani pługa, ani ziarna. Ci, co się zwlekli z końmi i wolami, musieli je sprzedać, aby żyć. Obowiązki więc P. Mrzozowskiego ograniczały się, na wzdychaniu, poglądaniu, rozpytywaniu, kurzeniu fajki i przechadzkach po wsi. Ozimina nie zasiana, a jarzyny nie było jak zasiać. Jednakże trzeba mu oddać sprawiedliwość, że o tém myślał.

Codziennie regularnie Mrzozowski zapaliwszy fajkę na krótkim cybuszku, włożywszy czapkę na głowę, chodził do palacu.

Zniszczenie panujące tu, nie mogło mu się w głowie pomieścić, ciągnął go ten widok okropnością swoją. Wszedłszy w sieni stawał, patrzył, ramiony ruszał,

kręcił głową i tak postępował dalej, wszędzie się zatrzymując i medytując. Obszedłszy cały pałac najskrupulatniiej, powracał do swojej izdebki, siadał na kuferku a mając podostatkiem polamianych krzeselek, raczył się obfitym ogniem na kominie.

Medytacje Rządzczy, codziennie jedne, codzień się powtarzające, przedłużały się nieco modyfikując do późnego wieczora.

Po obiedzie uwarzonym przez starą babę niegdy dworską gospodynię u kominika; Mrzozowski wychodził na wioskę, na puste lany, rozprawiał z wieśniakami, których napotykał, wstępował do arędarza Lejby, który już objął w posiadanie austerją traktową i wypiwszy kieliszek wódki, nakiwawszy głową, powracał siedzieć na pustym kuferku. W dniu świąteczne jeździł do żony do Łucka, lecz w poniedziałek po nie-

dzieli i nazajutrz po święcie, powracał na stanowisko.

Zwyczajnym wątkiem medytacji P. Mrzozowskiego było.

— Jak też to oni nie nie poszanowali!

I — Co to Graf powie gdy powróci? Wprawdzie pisał P. Mrzozowski do Grafa, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, nie był pewien, czy list jego doszedł.

Jednego poranku, gdy właśnie ukończył przegląd pałacowych pustek, i już miał z sieni wychodzić, posłyszał Rządca trąbkę pocztarską, laskanie z bąta i turkot powozu, spuszczającego się w jar ku dworowi. Mrówie po nim przebiegło.

— Dalipan ktoś jedzie — rzekł w sobie, a gdy się przybliżało.

— Doprawdy że jedzie: powtórzył.

Trąbka grała coraz to głośniej.

— Jak Boga kocham! ktoś jedzie! — zawołał i wyskoczył zaczerwieniony.

A właśnie w gruzy wrót wtaczała się żółta bombiasta landara szczęśliwie kołmi zaprzężona, za nią kocyk, za kocykiem bryka.

— Jak żonę i dzieci kocham, to Graf! co ja tu nieszczęśliwy pocznę! łamiąc ręce przeraźliwie zaskowytał P. Rządzca. Landara zajężdżała przed ganek.

Z okna wysunęła się ziewająca głowa Grafa z rumianem obliczem, obwisłą wargą i siwemi zaspanemi oczyma.

Spójrzal i zakrzyknął.

Mrzozowski stał drżący, czapkę wiaływszy pod pachę, skulony, z miną zbiednioną.

— Co to jest! zawolał Graf.

Hrabina wychyliła się spójrzała, zakryła oczy rękami i krzyknęła boleśnie.

— Ach! ach!

— Co to jest! pustka! powtórzył dzie-
dzie.

— Jak zwyczajnie po wojnie — szepnął zginając się Rządzca.

— Ale, to chyba u nas tylko, nigdzie nie podobnego nie widziałem.

— Po trakcie JW. Grafie.

— Więc wszystko.

— Wszystko zniszczono — rzekł Mrzozowski.

— A wieś?

— Jak wszystko.

— A ludzie?

— Połowy niéma.

— A pola?

— Niczasiane.

— To ruina.

— Ruina JW. Panie.

— Nieszczęście!

— Nieszczęście! powtórzył z westchnieniem Mrzozowski.

— Cóżże Waś robił?

— A cóżem miał robić przeciw wojsku.

— Przecież, prosić, starać się, u Generalów, u starszyny.

— Jeden General niemiecki, kazał mnie upiwszy się powiesić w wielkiej sali, ledwie mnie oficerowie przez liść odcięli. Gadać nawet nie dali. Żonę i dzieci musiałem skryć w mieście; sam z niebezpieczeństwem życia, dobra JW. Pana pilnowałem.

— Cóżeś Waś upilnował.

— A cóż, jak JW. Graf widzi.

— Pustki?

— Kazałem okna pozabijać.

— A gospodarstwo?

— Niema kim orać, czém orać i co siać.

— Nie siano.

— Nie siano JW. Panie, ale Lejba obiecuje.

— Ale cóż tu poczniemy, przerwała Hrabina, pałac w ruinach, pustki, ludzi nawet nie mamy, mieszkać tu nie podo-

bna. Graf poskrobał się po czole. Mrzozowski stał w milczeniu.

— Gdzie Waś mieszkaś? spytał.

— W oflicynie, dwie izdebki.

— Jechać do oflicyny!

Powozy ruszyły z przed ganku i potoczyły do oflicyn. Tu Graf i Grafini i mała ich córeczka Misia, i niańki i slugi i cały dwór wysiadł. Ale nie było gwaru, na wszystkich zniszczenie to, wielkie uczyniło wrażenie, szeptano cicho, pogłądano, a niektórzy pobiegli do palacu.

JW. Graf z żoną poszedł także.

Surowo, smutno przeszedł pokoje milczący, z wargą zaciętą. Żona płakała wieszając się na jego ramieniu; stawiała co chwilę i lamala ręce na widok swych ulubionych sprzętów zniszczonych, swych pokoi splugawionych przez halastwę. Ludzie idący za państwem cicho, jakby przerażeni wskazywali sobie w milczeniu to strzały, to szczątki ognisk, to

zdarł szmat jakichś ostatki. Mrzozowski z tyłu stąpał milezący także.

Przeszedłszy pałac cały, Hraha wystąpił na ganek ku ogrodowi wiodący. Mrzuzowski czegoś się zarumienił, ale nikt tego nie postrzegł.

Po złamanych wschudkach wyszli na trawnik zieleniejący, potem w prawo grabową ulicą. Rządca za nimi, słudzy za nimi milezący; Mrzozowski chrząkał.

Uliczką ciemną zhlizyli się ku kamiennej ławce, pod starym dębem, nad sadzawką stojącą. Graf syójrzał na Rządcę.

— Ludzi z rydlami, rzekł lakonicznie.

Ten potarł ręką po czole.

— JW. Panie, wyjąknął, niema po co —

— Co? jakto? Zkąd Waś wiesz, dla czego ich potrzebuję.

— Nie dla czego panie tylko, dla do-
bycia kufra. — którego nie ma.

— Jak to nie ma! zawołał Hrabia —
Zkąd wiedziałeś, że był? —

— Jak tu przyszli Austriacy, mówił
mieszając się Mrzozowski, zaraz szukali
pieniędzy, bili w ściany, wydzielali po-
dłogi; potem nie znalazłszy poszli kopać
do ogrodu i — znaleźli. —

— Znaleźli! powtórzyło kilka gło-
sów. —

— Znaleźli, podzielili się i zabrali. —

Graf z dziwną krwią zimną, zawrócił
się, cicho coś szepnął płaczącęj żonie i
poszedł nazad. — Mrzozowski czerwony
i niespokojny potoczył się za nimi.

Śludzy pobiegli sprawdzić na miejscu
i powieść o dobytym kufrze, jakoż w i-
stocie kufer snać odkopany został, bo nie
zasypana jama około ławki, już trochę
porosła czerniała.

— Straciliśmy wiele, rzekł Graf do

żony, ale nie wszystko. — Nie płacz, moja Anno — inni stracili więcej — nam jeszcze pozostało, czém zniszczenie to zatrzeć — *A la guerre, comme à la guerre.* Mrzozowskiego mam w podejrzeniu. — To się jednak odkryć musi. Tymczasem do oflicyn, a jutro zajmiemy się ładem i restauracją. Wystarczy nam to, cośmy w Warszawie pożyczyli, a jeśli będzie potrzeba — nie trapi się tylko moja Anno — dodał — ludzie naszej kondycij, powinni być wyżsi nad te drobnostki. *Le desespoir est canaille.*

Byłby mówił dalej, ale w téj chwili odarty dzieciak, wyrwał się z gęstwiny i począł uciekać.

Ze łzami spojrzała na dziecko Hrabina. Było to dziecko wieśniacze, nędzne, żółte, wybladłe, sześć lub siedm lat mieć mogące; a tak odarte, że połowa ciała przez lachmany poczepiane świeciła. — Siermiężka jego zlepią z najróżniej-

szych szczętów, ledwie piersi i biodra okrywała, nogi bosc, ręce nagie, głowa nie okryta była; a na bladej twarzy, pomimo przestraczu, cierpienia, śladów schorowania i wyniszczenia głębokiego, ujmujący wyraz łagodności panował. Siwe oczy we łzach plywały, a ściśnięte, usta, kształtne, wązkie, choć sine, choć we wpadłych policzkach, nie śmiejąc wzywać litości, zarysowały przymuszony uśmiech, uśmiech biednych co za obowiązek sobie mają, pokrywać nim cierpienie, i prosić miłosierdzia.

Pomimo odarcia i przerażającej nędzy, bladeści, wyschnienia, dziecię jeszcze było piękne, tą smętną pięknnością zeschłych kwiatków, co się roskwitną na gałązce rośliny zwarzonej jesienią.

Twarz uciekającego dziecięcia uderzyła Hrabinę i tak już rozczuloną, widokiem zniszczenia, myślą o sobie i swoim dziecięciu.

Chłopiec poskoczył ulicą, obejrzał się i zaszył w pobliskie krzaki.

— Co to za dziecię, spytała pani.

— Mości Mrzozowski, co to za dziecię? powtórzył Hrabia.

— To JW. Panie, sierota z tutejszój wsi. Cała chata wymarła z gorączki — ono się tu tulilo przy palacu żebrząc — Syn Bondarczuka, zowią go Ostapkiem. —

— Jak to? nie ma nikogo, krewnego, blizkiego?

— Nikogo JW. Pani, krewni Bondarczuków, najpierwsi się ze wsi wynieśli i dotąd nie powrócili. —

— Jakże żył?

— Jak robaczki i ptaszęta JW. Pani.

— W zimie?

— I w zimie.

— Nie odchodził przez cały czas nigdzie. —

— Nie ciągle był przy palacu. —

— Czémże żył. —

— Nie wiem — We dnie nigdy się prawie nie pokazywał. W nocy widywano go po pustych chatach, grzejącego się u tlejących główien. Ja mu czasem kazałem dać łyżkę strawy, boć to pańskie dobro — Nawet Niemcy i inne *nacje* co tu stały, z litości go czasem podkarmiali i dawali mu (co sam widziałem) swoje kociolki do wyлизywania. —

— Biedna dziecina! smętnie odezwiała się Pani. Hrabia pod ciężarem jakiegós uprzykrzonej myśli, westchnął także, ale widocznie z innéj przyczyny.

Potém chwilkę milczeli — Chłopak przypatrywał się z za krzaku państwu, schylony w pól, z oczyma wytrzeszczonemi, widocznie gotów do odwrotu.

Zbliżywszy się Hrabina, zwołała go do siebie.

— Chodź tu moje dziecko! chodź. —
Chłopiec się zawahał, obejrzał.

— A idźże do JW. Pani, krzyknął Mrzozowski podnosząc kija — Ostap na widok téj groźby już miał pierzchnąć, gdy powtóre zwołany przez panią, zebrawszy się na odwagę, wystąpił; rzucawszy okiem na Rządzcę. Tu dopiero w całym swym majestacie objawiła się oczom przytomnych, nędza sióroty.

Hrabinie ciągle oczy we łzach pływały. —

— O! prawda, zawolala, nie godzi się skarżyć i narzekać na siebie w obec takiej nędzy. —

— To całkiem co innego, odmruknął mąż poglądając posepnie — Oni stworzeni są do cierpienia

— Mężu! przerwała Anna. —

— Inaczéj Bóg by tego nie ścierpiał, z najzimniejszą krwią dokończył Graf.

Hrabina rozpytywać go poczęła; ośmielony siórota odpowiadał coraz wyraźniej.

— Byleś tu przez cały czas?

— Bylem.

— Cożeś widział. —

— A cóż, to co i *wy* widzicie teraz —
Palili, lamali, popalili, polamali i po-
szli. —

Nagle Graf jakby się ocucił.

— Możeś i to widział, jak tam doby-
wali knfra pod lawką nad wodą.

Mrzozowski straszliwie pobił.

— A widziałem, odparło chłopię.

— Doprawdy! zawołali wszyscy — wi-
działeś jak Niemcy. —

— Rządzea stał jak pod pręgierzem,
dusił się, bił, czerwienił, kołysał na
nugach.

— Ale nie Niemcy — rzekł chłopiec.

— A któż?

— Pan Rządzea z jakimiś ludźmi,
nocką przyszli, wykopali, wzięli na
wóz i —

W téj chwili Mrzozowski zniknął, rzu-

cil się w głąb ogrodu, w gąszczu — Słudzy popędzili za nim.

— Możesz widział gdzie zawieźli — dodała Hrabina.

— A jakże, bo przez ciekawość poszedłem za nimi. Bali się widać wieść daleko, to ono tylko zajechali pod gruszę na łąn i tam dziurę wykopawszy.

— Prędzój, prędzój, zakrzyczał tracąc zimną krew Hrabia. Pod gruszę — pod gruszę — Chłopcze z nami.

I w oka mgnieniu Graf z ludźmi poleciał, zabrawszy z sobą Ostapka, na łąn. — Pod starą gruszą, pomimo ubitój starannie darni, znać jednak było niedawno poruszoną ziemię, po wklęsłości niewielkiej. —

— Tu — rzekł Ostapek.

Ludzie wzięli się do kijów i rydlów i z niewymowną radością postrzegli wkrótce żelazny kufer, którego wierzch zardzewiał — dźwięknął pod uderzeniem

rydła — Dobrano się do zamka, zamek został nie naruszony. Hrabia, rozkazawszy wieść odzyskane mienie do palacu, pośpieszył oznajmić o tém żonie. O Ostepku zapomniano zupełnie i sierota poszła powoli ku łące, gdzie kilkoro dzieci, pasły chudą trzodkę, siedząc u nanieconego ogniska.

Byłby może Hrabia na zawsze o dziecięciu zapomniał, bo radość z odzyskania sreber, klejnotów i ważnych papierów, całkiem nim ośwladła; ale żona podbudziła go do wdzięczności.

— A ten chłopiec? spytała wieczorem.

— Jaki chłopiec.

— Sierota, co ci pokazał gruszę.

— A prawda! zapomniałem, trzeba by dać mu przynajmniej jeść.

— Jeść! mężu! odezwiała się dziwnym głosem Anna. Kto by cię nie znał, wziąłby za niewdzięcznego lub nieczulego, kamiennego człowieka.

— Mogęż mu co uczynić więcej? spytał Graf.

— Mnie się zdaje, odpowiedziała żona, że możesz go uwolnić, wychować przyzwocie i lepszy mu los zabezpieczyć— Mnie się zdaje, żeśmy nawet obowiązani do tego.

— Doprawdy? może! może to być! Rób jak chcesz!

Po téj rozmowie, Hrabina posłała po Ostapka, którego ledwie wynaleziono, ukrytego w ogrodowej budzie. Nazajutrz odziany, nakarmiony, przyjęty między dworskich, odżył już sierota. —

W rok potem Hrabina odsyłała go do szkół; i ot jak biédny, opuszczony sierota, dziwnym trafem wychodził na człowieka.

Mrzozowski zabrawszy żonę i dzieci, pojechał na Podole, gdzie wziął majątek spustoszony w dzierżawę. Hrabia nigdy nawet o nim nie wspomniał.



II.

NA BERLIŃSKIÉJ publicznej przechadzce, którą *Pod lipami* zowią; stanowiącej najpiękniejszą może i najbardziej ludną, przynajmniej w pewnych dnia porach część miasta; gdzie świat *fashionable* zwykł uczęszczać, jak w Wiedniu na Prater, w Medjolanie ku Porta Orientale, w Florencji na Casciny, na Corso w Rzymie, w Neapolu na wzgórze Paulyppu — ; — dniem wiosennym, a raczej wieczorem, wśród tłumu powozów, ludzi i jezdnych; dwóch młodych ludzi, szło ustronnie, powoli, jakby nie patrząc na to co ich otaczało.

Po jasnych włosach, a więcéj jeszcze

po charakterystycznych rysach, poznać było łatwo, że słowiańska krew płynęła w ich żyłach, że wśród germańskiego świata, byli przybyszami i gośćmi. Lecz należąc do jednego plemienia, dwaj młodzi widocznie, nie pochodzili z jednój narodu klasy. —

Przypatrzmy się im siedzącym na ławce i wśród gwaru, w smutném poglądającym milczeniu, na to co ich otacza, nie przenikając. Obojętnemi oczyma wędzą po powozach, po pieszych parach, po jeżdzeach popisujących się z końmi i paniach uśmiechających się z błyszczących świeżością karet i landar.

Starszy, na pierwszy rzut oka, zastanawia tą szlachetnością delikatnych rysów, którą pospolicie przypisują wyłącznie arystokracji. I dla czegożby kilka pokoleń swobodnego, wesołego, próżnego żywota, nie miało wpływać na wyidealizowanie rysów i postawy? Tak

nawet jest; ale potomkowie wielkich rodzin, które przypadkiem, rachubą, ukradkiem, nie podsycały się mniej szlachetną, a bujniejszą krwią ludu, przy wielkiej delikatności rysów, mają też właściwą sobie ich zdrobniałość. Nasz młody chłopiec także; miał rysy posągowe, oko wypukłe i kształtnie powieką ociągnięte, nos prześlicznych linii, czoło gładkie i wzniosłe; rączkę maleńką, nogę drobną jak kobięca. Ale wdzięku i szlachetności kształtów, ujmował brak siły, jakieś wycieńczenie, znużenie, skarłowacenie, które łatwo postrzegłeś.

Zdało się, jakbyś nań patrzył przez szkło zmniejszające, tak wszystko w nim zdrobniało, zmalało.. — Życie nie płynęło falami po wzdętych jego żyłach, ale toczyło się powolnie, mozolnie, ciężko, a może nudno. — Czarny lśniący włos, wcześniej niż należało, począł uciekać ze skroni i odsłaniać bardziej jeszcze

czolo; barwa różowa zeszła z policzków młodych jeszcze, a już bladych i zmatowanych. — Oparty na lasce, z założonemi na krzyż rękami, człowieczek ten w zadumie pogardliwój, poglądał nie widząc przed siebie.

Drugi, obok siedzący, barczystszy, szerszy, biały, rumiany, zbudowany na olbrzyma, rozrosły jak dąb na dobrej ziemi, z długim włosiem blond i niebieskiem okiem, z malinowemi usty; tęskno także, choć wcale inaczej patrzył. Jego milczenie więcej daleko mówiło. — Zrzucony kapelusz, rozpięchłe włosy, zdarta rękawiczka, zgięty kij w ręku silnym; dowodziły gry namiętnój wewnątrz. — Oczy błądziły po przechadzce, a każde odebrane wrażenie pisało się wyraźnie, jasno, na niezastyglém jeszcze obliczu. Co uczuł, to wyrażał w téjże chwili, całym sobą.

Trudno było na pierwsze spojrzenie

powiedzieć, jaki stosunek łączył tych dwóch tak wielce różnych, tak zdaleka zapewne zbliżonych, ludzi. Nierówność stanu, nie tylko rysy twarzy, pochodzenie zdradzające, ale ubiór nawet i postawa, objawiały. — Pierwszy miał w rękach batystową cieniuczną chusteczkę, cienki złoty łańcuszek wenecki trzymał jego lornetkę w złoto oprawną smakownie; laska z galką przepyszenie wyrzeżaną, pochodziła widocznie, od sławnego Verdier z Paryża. Suknie jego musiały być pracownice u Humanna stworzone, a koszulę szyl wynalazca téj *specjalności*, z całym staraniem, jakie się téj części stroju należy. Słowem strój pierwszego był smakowny i kosztowny, choć wcale pozornie, nie błyszczący.

Drugi, przeciwnie zaniedbaném ubraniem, przypominał Bursza; dość gruba, białości śnieżnej koszula, buchasto, dobywała się z pod długiej czarnej niedba-

le spiętęj kamizelki; chustka *a la Colin*, ledwie z lekka obwijala szyję żyłastęj i muskularnęj struktury. — Ręce, z których jedna obnażona była, nie nosiły na sobie śladów tego pieszczonego starania, z jakim Indzie wyższego świata, zwykli się z nimi obchodzić. Były to ręce potężne, kształtne ale wielkie, pracowitego człowieka; dłoń namulana, palec nie w jedném miejscu odarte. —

Gdy pierwszy pochyłal się na lasce sparty, drugi, w tył do drzewa się przysunął; oczy ich zdawały się unikać. — Głębokie, długie milczenie trwało, pół może godziny. Nareszcie pierwszy, owa postać arystokratyczna, z uśmiechem obrócił się ku towarzyszowi i rzekł.

— Enstachy! o czém myślisz? miał-żebyś się gniewać?

Tamten się zerwał, bystro rzucił okiem, uśmiechnął także, ale gorzko, i odparł.

— A! panie Hrabio! godzi się tak żartować? Mogęż się ja gniewać?

— Znowu wpadasz w swoją zwykłą przesadę?

— Być może, panie Hrabio!

Te, *panie Hrabio*, wymawiane było z takim przyciskiem, że widocznie stanowiło przymówkę, szyderstwo może. —

— Mój Eustachy, dajże mi pokój z tém hrabiostwem! rzekł z flegmą drugi. — Wiem dobrze co to znaczy w twoich ustach.

— I cóżby innego, nad głęboki mój szacunek znaczyć mogło?

— Wiesz, kochany Eustachy, że mnie nie łatwo omamić, podaj mi rękę i zgoda.

To mówiąc wyciągnął swoją ku Eustachemu, ale tamten, bojaźliwie, powoli, pochylony, dając swoją, odezwał się. —

— Mógłżebyś pan, dotknąć ręki, tak prostego jak ja człowieka?

— Znowu przymówki i żarty? Jeszcześ mi nie darował tych kilku słów wyrzeczonych nieuważnie, które cię do głębi ranić musiały. Zaręczam ci, że to raz ostatni, proszę o przebaczenie. Ale wolałżebyś, bym nieustannie mając się na baczności, nigdy ci serca nie wynurzył, z bojaźnią, żeby jakie poufale zwierzenie, nie ubodło cię w czémkolwiek? Znasz mnie dobrze, wiesz sam najlepiej, że nie dzielam zdań tych, co jednęj klassie wszystko chcą oddać, drugim odjąć wszystko, a słówko jedno!

— A! słówko boleśne! westchnął Eustachy.

— No, zapomnij mi go, wszakże nie pamiętam i ja, coś mi na nie odpowiedział, chociaż miałbym równe prawo może, dąsać się za twoją odpowiedź.

Szczérze, zgoda, kochany Eustachy?
Tamten spojrzał, lzy mu się pokręciły

w oczach, podał rękę— Mógłżebym się gniewać? powtórzył! Jam ci winien tyle! Ja! na ciebie! Daruj ty mnie, że twojém obejściem wyprowadzony z szranków, na chwilkę zapomniałem o tém, co nas dzieli od siebie! Napróżno! napróżno chcieliśmy się zbliżyć, jedno słowo rozpycha nas.— Przepraszam, zgoda i koniec.

Tu porwał się Eustachy, ciężko westchnął i spójrzal na Alfreda, który zimno, ale łagodnie, obejmował go wzrokiem.

—Siadaj, rzekł Alfred— siadaj, uspokój się, nie gniewaj, i nie mówmy już o tém!

—Nie mówić! nie podobna! Jedno słowo przyponniało mi wszystko; a blizki powrót do kraju, poczyną dręczyć niepokojem. Ciągłe mi się z głębi duszy odzywa głos powtarzający kto jestem!

—Mój przyjaciel!

—Wasz poddany!

—*Mon cher!* dajże temu pokój!

—A! Hrabio! Alfredzie! serce mnie tam ciągnie, a boję się, drzę, ziębnę! Wiele wam winienem, ale wiele i cierpię przez was; na cóście mnie wzięli sierotę i wyrzucili z właściwszego stanowiska?

—Rozumiem, kochany Eustachy; ale nie ci łatwiejszego, jak zupełnie się zaprzeć tego pochodzenia, które ci tak srogo dojmuje. Tysiące z twojego stanu wyszło podobnie na porządnym ludzi.

—Ja! zagrzumiał piorunowym głosem Eustachy i odskoczył, tak, że idący flegmatycznie z ręką założoną za frak niemiec, uderzony zatoczył się i djabłem go poczęstował.—Ja! Ja zaprzeczyć się pochodzenia! ja klamać, ja chcieć się wprzeć tam, gdzie niemam miejsca! przywłaszczać sobie, co nie moje! Ale ja

jestem dumny mojem chłopstwem! ja nie dalbym za hrabiowską waszą mitrę, wspomnienia pracowitych wieśniaków, co mi dali życie!

—Dla czegoż skarżysz się? spytał Alfred.

—Bo cierpię.

—Czém cierpisz?

—Bom Parja, między wami! Ani wychowanie, ani talent, gdybym go miał, ani cnota, ani nie w świecie, nie zastąpi dla was narodzenia—Widzisz moje położenie wśród was i pojmiesz, co mnie czeka. Wrócić między swoich!—o jak chciałbym, ale mi niepodobna—Świat ducha i myśli rozgranicza nas od siebie; przesąd czy jak go tam chcesz nazwij sobie—oddala mnie od was—pozostaję więc sam jeden, wyjątkowo, na stanowisku osamotnioném, wyłączném, boleśném.

—Mógłbyś nie powracać do kraju!—

—O! lekko-że to powiedzieć, mój Alfredzie, rzekł z mokremi oczyma Eustachy. Wam, Panom, wszędzie jest jeden świat, mnie ciągnie ziemia moja, wioska nasza, chata stara obalona, smętarz wiejski, wszystko! Ja tu żyję jak igła magnesowa sercem wciąż zwrócony—na północ! a gdybym nawet potrafił, zaprzęć się na wicki rodzinną ziemi moją; nie mamże obowiązku powrócić, gdy mnie stryj twój, a mój dobroczyńca wola?

Alfred milczał zamyślony; wstali z ławki i powolnie, ulicą lipową szli dalej a dalej. Rozmowa rozwiązała się dumań—Pod staremi dębami zwierzyńca (Thiergarten) zatrzymali się znowu; spojrzeli sobie w oczy.—

—Wiesz Eustachy, rzekł Alfred, stare te dęby przypominają mi moje lasy nad Styrowe, mój kraj—wkrótce tam będziemy!

—Cieszysz się?

—Cieszę?— nie wiem— Bije mi serce, ale z uczucia sprawy sobie zdać nie umiem. A ty?

—Cieszę się, smucę i lękam, wszystko razem.—

—Lękasz, czego?

—Tobież to mówić potrzeba?

Alfred ścisnął go za rękę z uczuciem.

—Będę z tobą.

—O! gdyby też nie to! rzekł Eustachy.— Pomimo mego tęsknego przywiązania do kraju— nie wiem czybym powrócił, nie wiem jakbym potrafił wymóżyć na sobie odwagę.— Moje położenie.—

—Zawsze wracasz do téj kwestij bolesnej.—

—Muszę.—

Eustachy znown wpadł w roztargnienie i niespokojne dumanie.

—Wszelkie bolejące nas pytanie, przerywał mu Alfred, powinno się wyczer-

pnąć do dna i o ile możności wyjaśnić—
Sprobujmy, zdaje mi się, że cię uspo-
koję.

—Sprobujmy, z łagodnym uśmiechem
powtórzył drugi; *quid tentare nocebit?*
Pozwól mi naprzód położyć ci zadanie,
jakiem ono jest z mojego punktu widze-
nia. W 1812 roku—stryj twój Hra-
bia—powraca do swojej wioski, znaj-
duje ją zrujnowaną, zniszczoną i w do-
datku, kosztowności, które zakopał był
chroniąc od rabunku spodziewanego; za-
brane. Odarte dziecię wiejskie wska-
zuje mu miejsce, gdzie niewierny rządz-
ca, ukrył przywłaszczone dobro Pań-
skie.— Tym sierotą ja jestem; sierotą ze
wsi, poddanym, chłopem. Przypadko-
wi winienem, że mnie wydzwigniono
z nędzy, do której się urodziłem, odda-
no na naukę, w ostatku pozwolono z to-
bą Alfredzie jechać do Uniwersytetu Ber-
lińskiego, dla wydoskonalenia w Medy-

cynie. Kilka lat razem przebytych, zatarło nieco wspomnienie wielkiego przedziału, jaki między mną a tobą los wyznaczył. Przyjaźń prawdziwie młodzieńcza, bez względów na stan i położenie, na towarzyskie nasze stanowiska łączy biédnego sierotę z znakomitym młodzieńcem.— Pozwalasz mi zwać się imieniem przyjaciela, wyciągasz mi rękę jak bratu! A! Bóg ci to nadgrodzi! Tyś dla mnie był wielkim dobroczyńcą, kto więc, nie większym-li tylko od pierwszego?— Ale wyjątkowe jedno serce, co się ku mnie skłoniło, nie zaślepia mnie na przyszłość. Z powrotem do kraju wracam w poddaństwo, do pierwszego stanu, jestem wystawiony na tysiąc nieprzewidzianych upokorzeń. Ci, co są moimi braćmi ze krwi; nie mają moich myśli i zbracić się ze mną nie mogą nigdy; ci, co są braćmi z myśli i ducha, odepchną.—

—Dla czego!

—Bom się urodził poddanym, chłopem.—

—Domysły próżne!

—Nie, kochany Alfredzie— w naszym kraju skutkiem kilkusetletnich nalogowych już wyobrażeń; szlachcie tylko jest człowiekiem, reszta ludzi rozgranicza go od małpy.— Kto nie jest szlachcicem, czyni się nim, podrabia nazwisko, wszywa się do herbu i kłamie sobie krew rycerską.—

—Zrób więc i ty tak.—

—Na Boga, nie powtarzaj tego! Ja jestem dumny, mówilem ci i mówię, z mojego pochodzenia— Byłem i jestem chłopem, synem chlopskim— nie więcéj. Zważ teraz— co wyniknąć może z téj nierówności stanu mojego z wyobrażeniami i wychowaniem?

—Co może wyniknąć, rzekł Alfred zgimając łaskę w rękę niecierpliwie. Ja

nie nie widzę— nie rój sobie mar próżnych. Wychowanie da ci wstęp wszędzie.—

—Upokarzający!

—Nierozumiem—

—Wstęp zresztą— pozwalam, nawet grzeczne przyjęcie; ale nigdzie braterstwa, równości, związku—Zimna grzeczność, może zbyt uczynna i poniżająca.—

—Znowu!

Alfred ruszył ramionami.—

—Jestem ja czy nie, arystokratą? spytał.

—Ty?

—Ja— przypatrz mi się dobrze i odpowiedz szczerze.—

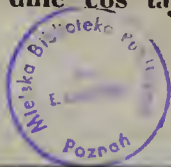
—Z wielu względów jesteś, z wielu— nie.—

—Przyznałeś przecie, że jestem z wielu względów, uśmiechając się dorzucił Alfred— a przecież jestem przyjacielem twoim i bratem.

—O! wyjątek!

—Eustachy! w niebezpieczne wpadasz marzenia, poczekaj powodów, nim gryźć się poczniesz. Nie mówmy o tém—Widzę, że nie mogąc cię uspokoić, gorzej tylko rozdrażnię. Ja nie jestem wcale jak myślisz wyjątkiem, owszem należę do mego ogółu całkowicie; ze mnie mógłbyś składować biorąc rzeczy, wziąć miarę innych.

—Daj Boże.—Zresztą mój Alfredzie, szacując najwyżej twoją przyjaźń, wiem, że to pierwszy i zapewne ostatni związek tego rodzaju. Potrafię stać na miejscu mojem i wytrwać sam jeden—niepokuszę się o nic, zamknę się w sobie—Przeznaczeniem mojem; wspomagać, cieszyć, leczyć—moich braci—resztę losu u BOGA. To mówiąc wstał, ale wzruszony i zarumieniany, widać było, że nie powiedział głębi swęj myśli, na której dnie coś tajemnego zo-



stało. Alfred nie pytał go więcj; wieczór nadchodził, razem więc zwrócili się ku miastu i mieszkaniu.

W drodze przyłączyli się do nich dawni uniwersyteccy towarzysze, ex-bursze, ale już przeszli na filistrów, bez atrybutów studenckich, wytwornie ubrani, i weseli, upojeni życiem, jak wszyscy, co wchodzą dopiero na próg, z nie-nadłamaną jeszcze nadzieją. Rozmowa stała się powszechną, wesolą i obojętną. Każdy opowiadał swoje zamysły w przyszłości, projekta niecierpliwe, gorące marzenia. Jeden Eustachy szedł z głową spuszczoną milczący; przez nuczucie delikatności, nikt go nie wyzwał, do wtórowania wrzawliwemu chorowi zapaleńców. Alfred także wstrzemięźliwie na zapytania odpowiadał; dowcipnie i grzecznie żartując z otaczających, nie odkrył się ani na chwilę z tém, co sam w sobie o sobie myślał. Zbliźmy

się do niego, abyśmy powody téj wczesnej niewiary w przyszłość, dojrżeli.

Alfred był synem pięknego imienia i dawniej pięknego także mienia rodziców. Ale u nas częściej niż gdzie indziej się trafia, że imię ciężarem swym gniotąc, nareszcie tych, co je noszą, spycha w niedostatek, ubóstwo. Na niem raz, ci co odziedziczyli piękne imię po sławnych przodkach, nie umieją się z położeniem swém zgodzić, wyrrywają konwnlsyjnie z upośledzenia, którem mniemają ubóstwo. Nieumiejąc ani pracować, aby odzyskać stracone, ani się z położeniem nowém pogodzić; stają się ludźmi najnieszczęśliwszemi, bo skazanemi na ciągle kłamstwo. Ich życie, jest najbiedniejszą komedją! komedją tragicznie często się rozwiązującą. Muszą klamać majątek tracąc go do reszty, klamać szczęście w cierpieniu; klamać państwo wśród niedostatku, klamać

spokojność, gdy ich jutro dręczy piekielnie.

Taki właśnie był los rodziców Alfreda. Znacznie nadrójnowany objawszy majątek, omyliwszy się w ożenieniu, które było prostą rachubą, a okazała się mylną; ojciec jego nie miał nigdy odwagi, powiedzieć sobie, że był ubogi. Skutkiem tego pozostałemu synowi, zostawił inie tylko i ruiny majątku; który należąc do syna pozornie, w istocie ledwieby mógł zaspokoić wierzących.

Ojciec Alfreda i Hrabia — na początku téj powieści widziany, byli rodzone — ni braćmi; ostatniemi swego imienia potomkami. Bratu umierający polecił syna; a ułoża konającego dane słowo, zapewniało Alfredowi jaśniejszą przyszłość. Hrabia — miał córkę — łatwo przewiilzić, co sobie wzajemnie przyrzeczono.

Koszttem stryja, który objął w swój

zarząd majątności synowca; wychował się Alfred, z całém staraniem, na jakie mógł się zdobyć, jakie mógł wymyśleć Hrabia. Wychowanie to, wcale nie nowym sposobem pomyślane; ograniczało się wczesném nauczaniem francuzkiego języka, muzyki, tańcu, potem wysłaniem do uniwersytetu w Berlinie; dokąd raczėj z własnej woli, niż po myśli stryja udał się Alfred. Stryj wziął to sobie za rodzaj *wojuzu* i pozwolił na to; tém chętniej, że synowiec z Berlina w czasie ferij, zwiedził Szwajcarją, Francją i Anglją.— A że tak nazwany *wojaż*, był dawniej ludzi wielkiego urodzenia ostateczném ukształceniem i tradycyjnie uważał się, za konieczność, stryj mówił zawsze, że Alfred *wojażuje*— Nie przyznawał się do Uniwersytetu.

Szczęściem dla Alfreda nauczyciele, których mu traf więcej niż kto inny wy-

bierał; — dopomogli do rozwinięcia niepospolitych darów, które od natury odebrał. Weześnie postrzegł położenie swoje, sam dójrzał, jak mu potrzeba nauki, celu do życia, jak niezbędną może będzie dla niego w przyszłości praca. Wyprosił się więc do Uniwersytetu i począł pracować naprzód nad sobą. Skutkiem jakiejś myśli, której niepowierzył w całości nikomu, mimo nawiąknienia do wygod życia, do pieszczotliwych zbytków, co się stają późniejszą uciążliwymi nalogami; Alfred uczył się bez nich obchodzić. Tajemnie brał u rzemieślnika lekcje jednego z najpotrzebniejszych, ale najmniej wdzięcznych rękodzieł; razem z Enstachem chodził na medycynę i otrzymał stopień. Stryj o tém nie wiedział, a znając go Alfred, ani myślał mu o tém donosić.

Pomimo téj tak głęboko uczutój potrzeby oparcia się tylko na sobie; i od-

wolania do własnej pracy; Alfred powierzchownie został paniczem, w całym wyrazu tego znaczenia.

Ubior jego, obejście, zwyczaje, były całkiem pańskie; upodobania arystokratyczne, w koniach, myślistwie, wytworném stroju, otaczaniu się wszystkiém co piękne, zatrzymał. W tym człowieku tak młodym jeszcze, było dwóch ludzi przygotowanych na dwie drogi, jakie los mógł mu zakreślić. Jeden gotów był pójść starym gościńcem przodków, drugi ciernistą dróżyną dorabiających się wszystkiego przez się.

Tak przygotowany Alfred, wychodził z uniwersytetu Berlińskiego odważnie zapatrując się w przyszłość.

O ile Eustachy cały był sercem, uczuciem i na zewnątrz wylany, o tyle młody panicz zamknięty w sobie, zimny na oko i rozmyślny w każdej czynności. Z równą obadwa odwagą, używali jej

całkiem odmiennie. Pierwszy rzucał się jak lew, nie mierząc przeciwności, z którą walczył, drugi rachował, myślał, szedł, łamał i wracał cicho. Enstachy serce miał na dłoni, wedle wyrażenia francuzów, Alfred w głowie. Tamtego poznawaleś w pół godziny, tego nie nauczyłeś się w pół roku.

Jak wielki wpływ, jak potężną na człowieku przewagę wywiera nauka w pewnym ciągłym kierunku nań działająca; niepotrzeba dowodzić. Alfred był tego dowodem; nowe teorie, nowe pojęcia o świecie, wyczerpane z lekcji sławnych mistrzów, starego w nim człowieka zatarły. Wyobrażenia młodzieńcze speszły zupełnie pod nowemi pojęciami, głębiej do umysłu i serca trafiającemi. Skutkiem ich Alfred, nie wierzył w to, co główny, kardynalny punkt wiary, dla jego przodków stanowiło — w szlachectwo.— W szlachectwo

pojęte ciasno, wyłącznie i niedorzecznie, przywilejem jedułej klasy.

Alfred nie mógł nie wierzyć w to, że z dwu roślin, zwierząt, ludzi, jednego rodzaju; jedna istota może być od drugiej indywidualnie szlachetniejsza—ale nie wierzył, by cały rodzaj jeden, był szlachcicem, a cały drugi nie. Jenjusz, zasługa; stanowiły dla niego szlachectwo; ród był tylko przygotowanym pomocniczym do osiągnięcia szlachetności, szlachectwa zasady, warunkiem. Szlachta się rodzi, i szlachta się robi; ale z wieśniaka rodzić się może szlachcic, a z szlachcica i pana niedoleżna i nieszlachetna istota. Słowem, jenjusz stanowi szlachectwo, a on nie jest wcale dziedziczny.—Takie pojęcie szlachectwa, odebrało Alfredowi wiarę w siebie dziecinną. Za młodu uważał się czémś wybraném, istotą uprzywilejowaną, przygotowaną na losy niechybnie szcze-

śliwe, wyznaczoną na wyższość, na rozkazywanie; której drugie niższe istoty służyć miały. Teraz postrzegł, że ci tylko, których siłą umysłu swego podbić potrafi, służyć mu mają, że to tylko go czeka, co dla siebie wypracuje, że tém będzie, czém się sam własną pracą stanie.—

Jednakże przekonania swego, które smutnie do duszy jego zajrzało, nigdy Alfred całkowicie nie objawił— Wstydzil się go. Ludźmi jesteśmy;— często lepszymi w sercu, niż powierzchownie zdajemy. Starego przekonania pozbyć się trudno, trudniój jeszcze przyznać otwarcie, żeśmy je zmienili. Jeden Eustachy, towarzysz nieodstępny Alfreda, wiedział, co się w sercu jego działo.

Ciągle z sobą, powierzyli sobie wszystkie swe najtajemniejsze myśli— Ich przyjaźń miała tę rzadko w innych trafiającą się siłę, którą dają jedne w gruncie

przekonanie, a różnie przecie na pozór objawione, dla różności charakterów.

Dwie strony jednej myśli, dopełniły się w nich wzajemnie i całość stanowiły. Może sam los stawiając ich na dwu przeciwnych szczeblach klasyfikacji towarzyskiej, przyczynił się do tego; modyfikując stanowiskiem różnem, pojęcie w gruncie jedno.

Przyjaźń ich była rzadkim związkiem nie obawiającym się przyszłości; a przechodzące chmurki, kończyły się zawsze prędką i pożądaną dla obu zgodą.

Alfred zimnej grzeczności dla innych, dla współtowarzysza był ponętym bratem. Eustachy w tym związku całą nadzieję przyszłości lepszej budował; napastowany nieustannie myślą o powrocie do kraju i stosunkach swych z otoczyć go mającym światem, uciekał się do téj przyjaźni, jak do jedynego w przyszłości ratunku.

Nazajutrz po przywiedzionej rozmowie, koczyl Alfreda stal na jednćj z ulic Kolońskiego przedmieścia, przed mieszkaniem dwóch naszych znajomych, zaprężony pocztowemi końmi; pocztyljon flegmatycznie przechodził się okolo powozu, oczekując na podróżnych.

W chwili wyjazdu Eustachy uklął i lzy potoczyły mu się z oczu. Alfred stal nakładając rękawiczki pracowicie z usmiechem nieodgadnionym.

—Módl się rzekł, jeśli cię to uspokaja, wszelkie lekarstwo dobre, byle skutkowało; ale módl się prędzćj, bo czas jechać.

Szybko, gwałtownie, schwycił się młody chłopiec, nacisnął kapelusz na głowę i zbiegl ze wschodów wołając.—

—Jedźmy! jedźmy!

I w milczeniu potoczył się kocz po ulicach nadsprejskiej stolicy.





III.

PO WIELU upłynionych latach; pałac, któryście widzieli na początku téj powieści, zniszczony, pustką zrabowaną stojący; podnosi się przed nami świeży, biały, odnowiony, blaszanym dachem połyskujący, zielonością otoczony, uśmiechnięty weselem.

Taż sama wioska, stoi prawie jak była— Niektóre chaty podparte, inne niżej zapadłe, inne do przypalonych starych przysunione słupów, stoją jak stały, w tymże porządku, z jednym pozorem. Ploty tylko calsze, ogrody zasiane i ruchu a ludu więcej, gdzie go

wprzód prawie nie było. Austerja traktowa jaskrawą żółtą ścianą się świeci, obok niéj powstał wielki dom pocztowy, otoczony stajniami i zabudowanym dziedzińcem.

Na grobli szumi przepyszny mурowany młyn i krupniarnia. W oddaleniu zielenieją łąki, majaczeją różnemi barwy strojne pola, od białéj kwitnącéj lreeczki począwszy, do żółkniejącego żyta.

Dziedziniec pałacowy z czarnemi sztachety w słupach mурowanych, zamyka kształtna brama z ciosowego kamienia— W pośrodku rozciąga się zielona mura-wa, na niéj kosze białe i wazony kwiatów.

W głębi widać z starych drzew złożony ogród, przecięty czystą wodą, która go przepływa.

Cisza w pałacu, na zegarze sali jadal-néj, wybiła dziesiąta; służący w szafi-

rowym fraku, na srebrnej tacy, niesie śniadanie do wielkiego salonu.

Ogromny stół okrągły, okrywa już przygotowane *a l'anglaise* śniadanie. Kawa, herbata, szynka, jaja miękko, chleb i chlebowe ciastka, na przepysznej zastawione porcellanie, obok srebrnego stoją samowary.

Za stołem przecie niema jeszcze nikogo. Kamerdyner w czarnym fraku, białych rękawiczkach, daje rozkazy lokajom, porządkuje talerze i zadowolony z swego dzieła, wybiera się oznajmić, że wszystko gotowe.

Nagle drzwi z lewej strony sali, otwierają się gwałtownie, z stukotem, i otyły, siwy, stary, ale krzepki mężczyzna wchodzi.

Poznałeś pana domu, po wnijsciu, po minie. Z krótko ostrzyżonym włosiem, średniego wzrostu, średniej tuszy, Hrabia jest typem pewnego rodzaju naszych panów.

Twarz jego pięknych rysów szpeci wyraz chmurny i ponury, czoło gładkie przecinają marszczki wyciśnięte wzdłuż i w poprzek, dziwnie pokrzyżowane nad nosem. Oczy siwe, zbladłe, rzucają wzrokiem śmiałym, pewnym, nieustraszonym, nsta milczą zaciśnięte dumnie. Twarz lekko zarumieniona, siwemi już bakembardami, krótko ostrzyżonemi otoczona, całością swą w niczem się nie odznacza, przecieź wpatrzywszy się znajdziesz w niej wyraz, jakiegoś zadowolenienia spokoju i siły niepospolity.

Ubranie ranne Hrabiego, składa się z tyfłkowego surducika, takichże spodni, żółtych bóćików i czapeczki pokrywającej łysinę. W ręku trzyma numer *Gazette de France*.

Spójrzal do koła i nieprzemówiwszy słowa, wskazał kamerdynerowi, który stał w postawie upokorzonój, na drugie drzwi. To miało znaczyć—prosić mo-

jéj córki.— Lokaje ustąpili pod drzwi same, a Hrabia przeszedłszy się w milecznin po salonie, spojrzawszy przelotnie w ogród, zajął miejsce na kanapie przed stołem.

Znowu drzwi się otwierają, i piękna młoda panienka, w białym ramnym szlafrocuku i ogromnej chustce; wchodzi z uśmiechem.

Była to Michalina, pospolicie zwana Misią, córka Hrabiego— Wysoka, wysmukła, zręczna, szlachetnych ruchów, wesolej twarzy; brunetka a biała i różowa jak blondynka, z czarnemi wielkiemi oczyma, żywa widać i samowolna jak zepsute dziecko; ledwie powitała ojca, który troskliwie począł się jéj o zdrowie dopytywać. Zrzuciła chustkę poprawiła ślicznych włosów i siadła w przygotowanym krześle.

Rozmowa ojca i córki zaczęła się po francuzku i co dosyć tłómaczyła, przy-

tomność służących; ale i bez nich podobno, ten język u nas nalogowy, byłby zapewne użyty. Ojciec schylił się ku niej i całując ją w rękę, spytał naprzód powolnie.

—Zdrowie twoje Misiu?

—O! tysiączne dzięki— zdrowiutętką jestem.

—A wczorajszy ból głowy?

—Przechodzi mi snem zawsze.—

—Dobrze spalaś.

—Jak bobak. Wstałam przecie bardzo rano, byłam u moich kwiatków w ogródku, jeździłam trochę konno.—

—Tak rano?

—A! najmiléj!

—Sama jedna?

—Był tam ktoś za mną! nieuważałam. Co ci mam dać papo? Herbaty naprzód!

—Dzisiaj? kawy, Misin.—

—Po staropolsku?

—Tak! tak!— Hrabia westchnął cięż-

ko. Ze srebrnym imbryczkiem, który stał na fajerce, Misia wzięła kawę i podała ją ojcu.

Sama poczęła powoli ustawiać swoje śniadanie i nalewać herbatę.

Potém jakby sobie przypomniła dopiero, żywo zwróciła się do kamerdynera i spytała—Pani des Roches?

—Prosilem, odpowiedział stary z ukłonem. Prawie w téj samej chwili, główne drzwi salonu od sieni, otwarły się powoli i trzecia osoba weszła.

Wysokiego wzrostu, wychudła, czarno ubrana całkiem, ukazała się wspomniona Pani des Roches. Była to towarzyszka teraz, a dawniej Misi nauczycielka; kobiéta już nie młoda, ale jeszcze niezatartych śladów wielkiej piękności—Błada jak marmur z oczyma potężnego ognia, ale głęboko wpadłemi, z malenkimi usty, schudzonemi policzki; poważna, surowa, smutna, miała w so-

bie coś dziwnie przejmującego. Drażnił jój widok, jak drażni ciekawy, tajemniczy tytuł książki nieznajomój.

Misia z uśmiechem wskazała jój obok siebie miejsce, a Hrabia powstawszy z kanapy na przywitanie bardzo grzeczne, usiadł wymawiając się że w tak ranym stroju przyszedł na śniadanie.—

Prostém sklonieniem głowy Pani des Roches, odpowiedziała na tę grzeczność; która i niegrzecznością także łatwo być mogła. Tak to widać zrozumiała przybyła, bo się wstrzymała i nie nie rzekła, udając, że nie widzi stroju Pana Hrabiego.

Jakiś czas przerywano milczenie bardzo obojętnymi wykrzyknikami. Misia tylko najwięcej mówiła, trzpiotała się i śmiała.

—A! a! zapomniałam cię się spytać, papo— musiałeś mieć wiadomość od Alfreda, kiedy powróci?

Hrabia spójrzal okiem bez wyrazu—
i zimno odpowiedział.—

—Wczoraj list przyszedł, jest w drodze.—

—Dla czegoż mi tego zaraz nie powiedziales, papo?

—Cóż tak pilnego, droga Misiu!

—Spodziewam się! Alfred! brat! tyle lat niewidzieliśmy się, a ty mnie się pytasz, co pilnego! Prawdziwie papo! zdziwiasz mnie! Przecież to przyszedł mój narzeczonny, nieprawdaż? I zaczęła się śmiać patrząc ojcu w oczy. Hrabia się zachmurzył, Pani des Roches, badając wzrok ukradkiem w nim utopila.—

—Nie odpowiadasz papo! powtórzyła Misia śmiejąc się, wstydzisz się?—

—Cóż ci mam odpowiedzieć, moja droga! z przymuszonym uśmiechem rzekł Hrabia—Wkrótce nadjedzie Alfred.

—Ale gdzież ten list jego? czemuś mi go nie pokazał?

—Niema tam nic ciekawego— sucho odparł ojciec.

—Dla ciebie! ale dla mnie może!—
Gdzie on jest! chcę go koniecznie przeczytać! Jestem kobieta, jestem ciekawa— W twoim gabinecie? spytała podnosząc się?

—Znajdę go później!

—Ale ja bo chcę zaraz papo?

—O! zepsute dziecko!

—Samaś mnie zepsul papo; za ós-że teraz i słuchaj twojej Misi— Ten list?

— Jest w moim pokoju! rzekł ojciec—
Pędem porwała się Misia i pobiegła.
Hrabia uśmiechnął się do Pani des Roches i rzekł.

—Co za niepokonane dziewczę!

—To anioł! odpowiedziała francuzka.—

—Uparty aniołek!— Ale, tém lepiej, będzie miała charakter (*elle aura du caractère*).

Misia wracała zwycięzka wesółą, z listem w ręku, który już po drodze przebiegała oczyma z wielkiem zajęciem.—

—Niedaruję ci nigdy papeczko! nigdy! żeby mi też nie powiedzieć zaraz o liście— nie dać go zaraz! List tak zajmujący! tak ciekawy! od Alfreda!

—Wszak go masz.—

—Teraz! kiedyś ci go prawie gwałtem wzięła, zamiast mieć go wczoraj jeszcze!—

I pogroziła ojcu na nosku.—

—Zobaczysz, papo, co ci zrobię?

—Naprzykład?

—Wszystkie twoje projekta zniszczę, Alfreda nie zechcę— i.—

Tu schyliła się do ucha Hrabiego—szepcząc.—

—Pójdę za męża, jak Pani D.....

Ojciec udawał, że się śmieje, ale poezzerwieniał cały.

—Rób sobie duszko, co chcesz! ty

wiesz jak cię kocham, i że w niczém nie umiem ci się sprzeciwić!— Wmawiasz mi na próżno jakieś projekta, których nigdy nie miałem.—

—Doskonale! Zapiérasz się więc?

—O niczém nie wiem!

—Nie myślałeś o Alfredzie dla mnie?

—Ale nie, z nieukontentowaniem rzekł Hrabia.—

—Biorę cię za słowo.—

—O! jak chcesz!

W czasie tego urywku rozmowy, ojciec był widocznie mocno skłopotany— i pomieszany czémś. Misia tymczasem doczytywała ciekawie list Alfreda.—

—Jeśli taki zimny pedant i ceremonjalny grzecznik, jakim go widzę z listu, zawołala rzucając— zginiony! po twoich projektach, papo, nic z tego nie będzie— Porwała list znowu ze stołu z nowém zajęciem.

—A, a! rzekła: i nie pewno nie donosi mi o moim protegowanym?

—O kim? kwaśno spytał Hrabia, choć dobrze wiedział.

—Jak to? o kim! a — o towarzyszu podróży!

—O towarzyszu! rzekł ojciec, — o żadnym towarzyszu nie wiem — prócz — służących — dodał z przyciskiem.

—Rachniesz więc do nich i P. Eustachego. —

—I Ostapka — dodał Hrabia.

—Papo! kochany papo! nie rób mi téj przykrości!

—Nierozumiem cię!

—Tyle masz starych przesądów!

Hrabia wzruszył ramionami — pogardliwie. —

—Bez żartu! Alfred, mówiła Misia przebiegając list, nic o nim nie pisze —

—Cóż mógł napisać?

—A! jak ciekawa jestem! jak jestem

ciekawa! Będzie to przynajmniej jedna istota, niepospolita, w naszym towarzystwie.—

—W naszym towarzystwie! podchwycił Hrabia z oburzeniem! Misia jakby tego niecuwała, dodała.—

—Przecież coś excentrycznego, niezwykłego— sierota, chłopiec, wychowany inaczej niż oni biedni zwykle bywają, postawiony w tak dziwnym.—

—A! na Boga, nie mogąc dłużej wytrzymać wyrwał się ojciec— Co dziwnego! co excentrycznego? Sierota, chłop; z którego zrobię cyrulika w moich włościach.—

—Alfred donosił, że jest doktorem—

To wszystko jedno! obojętnie dodał Hrabia— doktor, cyrulik— dam mu kilkadziesiąt złotych.—

Misia patrzyła na ojca— Masz rację— przerwała; ale o tém nie wyrokuj póki go nie zobaczysz— Może się nie na cy-

rolika wcale kwalifikować będzie, a w takim razie.—

—Będzie, czém mu być każe—rzekł Hrabia.—

—Zobaczmy— Co do mnie, papo! A! jakbym sobie okrutnie życzyła, znaleźć w nim oryginalnego coś, niepospolitego! Wy wszyscy kochany papo, nie wyjmując, ani mnie, ani ciebie, ani tych, co nas otaczają, jesteście tacy pospolici, tacy znajomi ludzie—mnie tak nudzi, to nasze towarzystwo jednostajnie sznurowane.—

Hrabia nśmiał się do milczącój Pani de Roches—podziękujmy za komplement, rzekł.

—O! to tylko szczéra prawda! śpiesznie dodała Misia.—

—Znajdujesz nas tak nudnemi?

—To mi nie wadzi do kochania was; ale prawda przedewszystkiém—papo—nasze towarzystwo podobne jest gładkim

uliczkom ogrodu— Bardzo wygodne, piękne, a jednostajnością nudne.

—Wolalabyś więc.—

—Zieloną murawę, twardy kamień, błotnistą ścieżkę; coś nowego.—

—Zapalona głowa! rzekł Hrabia.

Misia pochyliła się ku ojcu i wdzięczając mu się, rzekła.—

—Cóż robić! nie mogę być inną!

—Wielka kwestja!

—Zupełnie rozwiązana— tyleś mi nie pieścił, że mi się stała tak samowolną, tak swawolną— *si vous voulez*.—

—*C'est le mot!* złośliwie rzekł Hrabia.

—Pozwalam, ale jaką jestem, taką będę nazawsze— Nieprawda Pani?

—Lękam się tego, powolnie odezwiała się Pani des Roches.

—Dla czegoż się lękasz?

—Francuzka zamilkła i zadumała się.—

—Prawdziwy sfinx, moja kochana des Roches, cała w zagadkach!

—Życzę żeby ci to na zawsze zagadką zostało!—

—Ja się spodziewam, że twoja bojaźń nią będzie.

Mówiąc to uśmiechnęła się białemi zębami Misia i wskazała kamerdynerowi, aby zbierano śniadanie. Hrabia zatopił się w gazecie, którą nważnie na pozór i z wielkiem zdawał się czytać zajęciem, Misia wstała i otworzyła drzwi szklane na ganek.

—Jemu nie gorąco — odezwiała się wciągając powietrze— *Madame des Roches voulez vous faire un tour au jardin?*

—*Volontiers.*—

—Hrabiemu podano fajkę tureckiego tytoniu na długim jasminowym cybuchu.

Dwie panie wyszły powoli; a nważny postrzegacz fizioognomij byłby dostrzegł, jak szybko zmienił się wyraz twarzy Michaliny. Zaledwie odeszła od ojca i została sam na sam z Panią des Roches,

spowaźniała (nie tracąc swój żywości jednakże)— a gdy nieco dalej odeszły, rzekła.

—Więc niepodobna, kochana Zofio— mego dobrego ojca nawrócić! Codzien toż samo! codzien napróżno! powiedz mi, wszelkie przekonanie tak-li się głęboko w człowieka rozkorzenia i krzewi, że go nie potem wyrwać nie potrafi?

—Wybornego użyłaś porównania, odpowiedziała francuzka— Jest to roślina, co się zasięwa, co się wkorzenia; że jej wypłenić niepodobna! Ale nie dziwimy się, młodość, długie życie, towarzystwo ludzi jedno zdanie z nim mających, uczyniły ojca twego czém jest.

—Nawrócić go więc!

—Niepodobna.

—Smutno to sobie powiedzieć! taki szlachetny, tak dobry człowiek, takie złote serce!

—Mogło być inaczej? urodził się,

wychował, zestarzał w swojém przekonaniu. A wszystko, co widzi, co go otacza; utwierdza w niém.

—Wiész, moja des Roches, ja się nie-
zmiernie lękam przybycia Alfreda— Żą-
dam go i lękam się— Cós mi mówi, że
on nie będzie podzielał myśli papy— Ztąd
nieporozumienia, nieukontentowania—
A w dodatku, ten mój protegowany!

—Jak to protegowany! Wszak go nie
znasz?

—Przepraszam cię, doskonale go pa-
miętam, a moja dobra mama, polecila
go mi! Co papa zrobić z nim zechce?

—Mówil ci dzisiaj.—

—O! z tego nic nie będzie!

—Wprzód go zobaczysz i osądzisz.—

—Jestem pewna, że takim go znajdę,
jak sobie wyobrażam. Pamiętam go chło-
pięciem, wyrostkiem; słyszałam, że Al-
fred bardzo go kocha— My we dwoje
z nim, zaslaniać go będziemy— Bo prze-

widuję— Ach! kochana moja des Roches — Niech-że prędzej przyjeżdżają, bo przynajmniej hędzie życie u nas— będzie o czém mówić, myśleć, kłopotać się— Ja mrę z nudów.

—Z nami, Misiu?

—*Choć wami*— Nasza wieś,—śmier-
telnie nudna, moja Zofio; nicumiemy
żyć na wsi.

—To może prawda.—

—A nasze wiejskie towarzystwa?

—I to może prawda.—

—I wszystko ho prawda, moja droga, co mówię, tylko się w piersi uderz-
cie; a szczerze przyznajcie. Jestem pew-
na, że papa, że ty, że wszyscy, tak się
paradnie nudzicie jak ja! Papa szczegó-
lnie, de Genoude dawno go niecierpli-
wi, a przyznać się niechce! Żyje tylko
gazetą swoją, która jest najniecznośniej-
szym w świecie pokarmem— *Fousn'êtes
pas legitimiste, Madame des Roches?*

Pani des Roches wzruszyła ramionami.—

—Wiesz kto jestem, odpowiedziała.—

—A! żebyż już prędzej przyjechali! zawołała Misia — Chciałabym ich zobaczyć. Alfreda naprzód, wszakże nie tajno ci, że to mój narzeczonny, musimy się pobrać bośmy ostatni z imienia i majątek przeszedłby w obce ręce — Papa by tego nie przeżył.— Alfred więc naprzód zajmuje mnie — potem ten biedny! Z góry sobie powtarzam, że protegować go będę!

—Kogo? spytał nagle odzywający się głos Hrabiego za córką.

Misia odwróciła się bez pomieszania.

—A! szpiegujesz nas papo! to nieładnie! wiesz kogo mam protegować!

Hrabia trzymał list w ręku i twarzą okazywał niezwykajne wzruszenie.

—Co to za list? spytała Misia.—

—Ze Skaly!

—Alfred przyjechał?

—Przyjechał! Bez sensu wprost do siebie, zamiast przybyć naprzód do mnie—Dziś wieczorem tu będzie.—

—A! to wybornie, cudownie! nie-
skończeniem rada, niech-że cię uści-
skam kochany papo.—

— Powoli, Misiu—słówko, i nie ści-
skaj mnie wcześniej, bo to z czém przy-
szedłem, nie zasłuży pewnie na uścisk.—

—A! cóż takiego?

Hrabia przybrał uroczysty i surowy
wyraz twarzy.

— *Ma chère*, rzekł, proszę cię o jed-
ną rzecz i wymagam.—

—Wymagam! papo! co za słowo!

—Nie odstępuję od niego! serjo rzekł
Hrabia—Misia spójrzała mu w oczy,
wstrzymała uśmiech i zmarszczona, nie-
cierpliwa, odpowiedziała.—

—Slucham.

—Naprzód matka twoja, potem ty,

wzięłyście na siebie protegowanie sieroty, którym ja *chcę* wedle woli mojej jedynie rozrządzać—Uprzedzam cię więc, kochana Misiu, że *chcę* i będę panem u siebie—że proszę, abyś się w niczem do moich rozporządzeń nie mieszała—Moje postępowanie będzie dla otaczających skazówką, jak go uważać i postępować z nim mają.—

—Słyszę, ale nie pojmuję cię, papo.—

—Zdaje mi się jednak, że dziś łatwo.—

—Latwo pojąć, a wytłumaczyć sobie trudno, dodała córka, dla czego kochany papo, odebrać mi chcesz przyjemność usłużenia komuś—Będę posłuszną—nie mieszam się do niczego.—

To powiedziawszy odwróciła się Misiu i szybko poszła ulicą. Hrabia pozostał sam na sam z listem w ręku—zmieszany, bo ile razy córka się z nim w ten sposób rozstawiała, męczył się jój złym

humorem i przemęczywszy ustąpić jęj wręście musiał. Na ten raz, chciał użyć całej swęj powagi, ale mu się nie udało.

Przewidywał, że zostanie zwyciężony, jak zwykle. Z drugiej strony, niepojęty jakiś wstręt, niewytłumaczoną czuł odrazę dla przybywającego sieroty.— Wychowanie dane mu początkowo drażniło go niewypowiedzianie; sto razy chciał zepchnąć to dziecko w pierwszy jego stan, sprzeciwiał się wręście wyjazdowi Eustachego za granicę z Alfredem— Ale naówezas żyjąca jeszcze żona, wymogła, że na to pozwolił. Teraz, gdy miał już powrócić sierota, Hrabia doznawał jakiś niespokojności, zbroił się na ten powrót, jak na wojnę. Codziennie powtarzał sobie.—

—Z tego nic dobrego nie będzie! Żmię odgrzewam, pewny jestem! Niema przykładu, żeby kiedy z chłopca co dobrego wyszło. Będzie to zazdrośne, nie-

nawistne, podle—Doniesienia o talentach, o nauce jakiej nabywał Eustachy, gniewały Hrabiego.—

—Tém gorzej, mówił—tém niebezpieczniejszy będzie—Musí mieć złe serce, a przy dobrej głowie.—

Hrabia roił sobie w Eustachym nieprzyjaciela; bo czuł, że go nienawidził, i że nienawiść, zawsze się nienawiścią prawie płaci i wstrętem.

Wedle starego zaś axiomu, nie spodziewał się nic dobrego, po *chamie*, jak go nazywał. Liczne przykłady, wspierały go w tém przekonaniu.

—Krew, mówił w sobie, krew dobra—dobra rasa—to rękojnia! Z podobnego rodu, nie pocziwego nie wyjdzie.—

Przyszło do tego, że Hrabia nie widząc oddawna swego wychowawcy, obawiał się go wcześniej i postanowił, nie dozwalać ile możności, wychodzić mu

ze stanu; utrzymywać go w uległości, w rygorze upokarzającym. Tym sposobem nagnę go póki czas — Spuścić go z oka nie można; kto wie, co się tam roi w téj głowie! Co się stało odrobić nie podolna, ale naprawić potrzeba.

Niczémby nie można usprawiedliwić Hrabiego, w tych jego strachach dziwacznych, gdyby nie to, że czasem człowiek, dla nieznanego mu prawie człowieka, przeczuciem jakimś, czy fatalnością, doznaje wstrętu, bojaźni, upiera się przy nich, rozżarza w sobie uczucie wyrosłe i marę swoją, prawie za rzeczywistość poczytuje. Jest to wcale niezadki fenomen. Tysiąc się on razy trafia; bo oczy duszy dalej daleko sięgają niż oczy ciała, a ten drugi wzrok pewniejszy jest czasem od pierwszego, od wzroku *per excellentiam*, co patrząc jeszcze częstokroć nie widzi.

Ile razy w czasie pobytu Alfreda za

granicą, przychodziły listy od niego; nie tyle niespokoił się synowcem, co wychowawcem, szukał o nim wzmianki; chciał koniecznie dowiedzieć się co zle- go, aby mieć dostateczny powód, dla rozkazania powrotu do kraju. Ale na- próżno. Gniewał się, że mu uczyć się Al- fred z sobą pozwolił, gniewał, że go brał z sobą do Szwajcaryj, Francij i Anglij.

—Po co jemu podróże! Alfred głowy nie ma! Zepsuje go i odda mi potém, tak że nie będę wiedział, co z nim po- cząć—do roli to nie pójdzie, nie zda się na nic. A niebezpieczne! Bóg wie! to może być szpieg domowy!—

Im bardziej zbliżała się chwila powró- tu z zagranicy, tém niepokój Hrabiego wzrastał, podwoił się on jeszcze z in- nój przyczyny. Hrabia przez rząd ma- jątkowy, ład wprowadzony w gospodar- stwie i niełitościwą srogość dla podda- nych, stanął w interessach, lepiej niż

mógł się spodziewać. Pozakładane fabryki, poczynione ulepszenia, w kilkanaście lat, podwoiły już i tak znaczną fortunę. Przy powszechnej ruinie majątków, ten wzrost nagły, postawił Hrabiego na stopniu wyższym, niżeli oddawna zajmowali podupadli jego imiennicy, w hierarchii arystokratycznej. Córką jedynaczką mogła wyjść za jedno z najstarszych i najpiękniejszych imion krajowych. Dano to wyrażnie do zrozumienia Hrabiemu; napomykając, że nawet możnaby pozyskać pozwolenia przypięcia imienia Hrabiorów do nazwy pretendenta, jeśliby tego żądano.

Z drugiej strony, dane słowo bratni wiązało go; Alfred ubogi prawie miał być mężem Misi.

Niewiedzieć z kąd, po uczynionych propozycjach od innych, Hrabiemu zaczęły myśli różne przychodzić do głowy, których wprzód nie miał.

—Małżeństwa między blizkimi krewnymi, między tak blizkimi— są zakazane. Możnaby otrzymać dyspensę, ale zwykle małżeństwa takie są nieszczęśliwe— Są przeciw prawu kościelnemu, zły przykład— A chociaż, co wolno nam, tego sobie *niżsi* dozwalać nie powinni— wszakże przykład! Winniśmy dawać przykład— Powtóre, myślał od niejakiego czasu, nie podohua mi zmuszać Misię— Chodzi tu o jej szczęście! Przywiązanie nakazać się nie może! Może mieć wstręt może się poświęcić dla mojej myśli! Godziż się dziecię poświęcać! przez próżność? Naręście imię— imię zostanie; Alfred się może bogato ożenić.

Słowem Hrabia głęboko się zamyślał, nad podobieństwem niedotrzymania uczciwego, słowa danego bratu; a to od czasu, jak mu zaczęto z różnych stron niespodziewanemi podszeptywać projektami.

Xiążęca mitra, którą nosił *anticipative* wraz z paludamentem przy herbie, dosyć smakowała Hrabiemu. Nowy lustrzucilaby taka kolligacja; a gdyby jeszcze imię Hrabiów, połączyć się miało z tamtém Xiążęcem i chodzić już nierozdzielnie na przyszłość??—

Te i tym podobne rozmysły, znacznie oziębily Hrabiego, względem Alfreda— Począł sobie mówić— Zobaczymy, zobaczymy! i przygotował się do zerwania zrobionych przyrzeczeń.— Wyrażnie sobie nie powiedziawszy sam, że tego żąda; wzdychał Hrabia najbardziej nad tém, jak tak blizkich pożenić, jak zapewnić, że się sobie podobają. Słowem gotował wcześniej wymówki.

Tymczasem zbliżał się czas powrotu Alfreda z zagranicy; a w miarę dorastania Misi, odwiedziny, zaprosiny, nowe znajomości, stare zapomniane odnowione związki niezmiernie dumie Hrabiego

pochlebialy. Ludzie wprzód obojętni, poczęli się koło niego łąsić, brać go pod rękę, nazywać kochanym Hrabią i coraz częściej bywać— Kilku panów przyznało się do prababek z Hrabiowskiego domu; kilkun Xiążąt wywiodło z kolli-gacij przez kobiety, oba domy łączące; Hrabia wzdymał się zwycięzko. Ale w miarę jak świat poczał przywiązywać wagę do niego, on nieskończenie mniej cenil dane bratu dawniej przyrzeczenie.

—Koniec końcem, mówił w duchu, dalem słowo warunkowe, jeżeli— jeżeli.— Nie mnie tak koniecznie nie obowiązuje. Misia wie o tém słowie, ale pewien jestem, że dla niej to będzie powodem, wstrętu, dla Alfreda. Ona, tak samowolna! Nie mogę jój zmuszać, nie chcę— Szcęście dziecka przedewszystkiém! Alfred wie także o tym projekcie, sam mu o nim mówiłem, ale śmiesznyby był, gdyby mi chciał przypomni-

nać— To zresztą nie podobna! Tak uspokajając się, Hrabia przygotował razem córkę, do nastąpić mającej zmiany projektów. Ale nigdy przed nią nie wążąc się, całkiem wypowiedzieć swęj myśli, nie był od nięj zrozumiany. Missa napomykała często przez ojca myśli, o tém, że niema nie pewnego w związku jęj z Alfredem, że wszystko od nięj zależy, że jęj zmuszać nie chce i t. p. wzięła za ostróžność ojcowską, za hojażn z jego strony, ahy narzucony kuzynek, jako narzucony odrzuconym nie był. Nie domyślala się weale prawdziwego powodu, zobajętnienia stryja dla Alfreda.

Ona zaś, nie przywiązała się jeszcze do nikogo, jak się zdawało. Często bardzo odwiedzający mlodzi, nie zrobili na nięj żadnego wrażenia, pomimo dobrego wychowania, wytworności, talentów, zalecających ich imion, związków, majątków— nie wyróżniała szczególnięjżad-

nego. Wesola, śmiała i ponfala ze wszystkimi, dla wszystkich była obojętnie grzeczną; a tych w pół wyraźnych, w pół osłoniętych oświadczeń, które wolno jest zrozumieć, wolno niby niewiedzieć, zdawała się niedomyślać znaczenia. Kiedy przed nią ojciec wychwalał którego, odpowiadała zwykle.—

—Między niemi wszystkimi nie mogę znaleźć żadnej różnicy. Wszyscy zdają się być jednęj myśli, jednego charakteru, tak jak są jednego ubrania, jednęj prawie fiziognomij.— Podobają mi się wszyscy zarówno, nikt z nich szczególnie— Byłoby to niesprawiedliwością, jednego z tych panów przenieść nad drugiego, tak są do siebie podobni.





IV.

BYŁ wieczór; w salonie, którego drzwi otworem stały na ganek, siedział nieumiejąc pokryć niespokojności swojej, Hrabia, Misia i Pani des Roches, jak zawsze smutna i mileżąca. Co chwila zrywał się gospodarz domu, przysłuchiwał i znowu siadał przekonawszy, że nikt nie przybywa; a im dłużej tak czekał, tém srożej się niecierpliwił.

Misia czytała niby, a przynajmniej trzymała książkę w ręku, Pani des Roches robiła jakąś robotę. Nie myślała nawet o rozmowie, bo żywiołu do niej brakło. Niekiedy tylko wykrzyknik

wyrywający się Hrabiemu, przerywał ciszę długą.

Zmierzchało coraz; a Hrabia wstał i przechadzał się.

Zadzwonił wreszcie, wszedł kamerdyner.

—Herbata! zawołał.

—Nie będziemy czekać? odezwiała się Misia.—

—Albożeśmy nie dość jeszcze czekali? odparł Hrabia nieukontentowany. Pan Alfred widać żartował sobie ze mnie, oznajmując swoje przybycie.

To mówiąc usiadł i spuścił głowę nad felieton gazety. Turkot dał się słyszeć w dziedzińcu, Hrabia porwał się.—

—Jadą! rzekł mimowolnie; a Misia z podziwieniem dosłyszała to wyrażenie dowodzące, że ojciec i Eustachego rachował; bo nie powiedział— Jedzie, ale jadą.

Wkrótce jednak jakby się opamiętał,

Hrabia dodał powtarzając — Przecież jedzie!

— Jada — zawołała Misia, rzucając wiązkę, masz papa słuszość *jada*. —

— Jedzie, rzekł ojciec z przyciskiem. Spodziéwam się sam Alfred. —

— Z towarzyszem!

— Zawsze swoje, sługa nie jest towarzyszem!

Misia ruszyła ramionami.

Kiedy się to dzieje w salonie, a wrócy niepokojem Hrabia, hamuje się by nie wyjść naprzeciw; druga scena odbywa się w ganku. Z powozu wysiedli Alfred i Eustachy; ale w chwili, kiedy do siebie wchodzić mieli, Eustachy zadrzał, pobladł i wstrzymując towarzysza, rzekł do niego po niemiecku, aby ich ludzie zrozumieć nie mogli.

— Hrabio, znam nadto twojego stryja, a szanuje go nadto jako dobroczyńcę mego, żebym się ośmielił bez je-

go pozwolenia wniknąć z tobą. Zostanę tutaj.

To mówiąc, odwrócił się, otarł pot z czoła bladego kroplami występujący i siadł na lawie ganku.

—Zwarjowaleś! zawołał Alfred—Co ci się dzieje?

—Nie mogę wniknąć.—

—Byłeś ze mną w salonach nie jednego poselstwa w Berlinie, a obawiasz się.—

—Bo tam Hrabio, każdy coby mi mógł uchybić, był dla mnie obcym—rozumiesz. Tu—mam obowiązki—a jestem dumny—dorzucił ciszej.—Wystaw sobie obelgę, gdybym ją wymierzona ku mnie zimno, znieść musiał!—Nie pójdę—na Boga—idź sam, zostaw mnie i spytaj tylko, czy mi wolno.—

Wzruszenie głosu mu zatamowało.

—Pozostaniemy więc zapewne oba wganku, bo ja bez ciebie nie pójdę—Co za szaleństwo! co za myśl! Każdyż

nie ma prawa wnijść; a ty wchodzisz z podzięką.

—Tak, ale wchodzę z tobą, za tobą— wchodzę jako— jako— Ja nie wiem, ja nie mogę.—

—Opamiętaj się, szepnął Alfred, wystawiasz mnie i siebie na śmiech sług, co tu stoją—zamiluj się.—

—Idź— rzekł Eustachy, idź naprzód— Wnijdę potém. To mówiąc zerwał się z ławki i uskoczył w dziedziniec.

Alfred postął chwilę, ale prędko przyszedłszy do siebie, naciągając rękawiczki i poprawując włosów, dorzucił.

—Przyłoś chustkę do nosa, powiem żeś zachorował.

—Mów co chcesz.

Gdy się to dzieje, a Alfred jeszcze się waha co począć, Hrabia niecierpliwie chodzi po salonie; radby wyrzucić, a nie chce się kompromitować pośpiechem,

nawet przeciw synowcowi, tupa, zży-
ma się i siada znów do gazety.

W tém drzwi się otwarły — Alfred
wszedł; z otwartemi rękami poskoczył
ku niemu stryj, udając więcej jeszcze
czułości, niżeli jój było w istocie
w sercu.—

—Kochany Alfred!

—Stryj kochany!

Rzucił okiem na drzwi— nikogo wię-
cej.—

—Co to jest? pomyślał. Nikogo?
Gdzież tamten.

Tamten leżał mu kamieniem na sercu,
a spytać o niego przynajmniej w pierw-
szej chwili nie wypadalo. Przywitanie
czule, serdeczne, zawarło się przypo-
mnieniem wzajemném Misi i Alfreda.
Obõje z jedną myślą zmierzyli się wzro-
kiem.

—To on!

—To ona!

— Oboje znaleźli się wzajem takimi, jakimi widzieć spodziewali.

— Dobrześ nam kuzynku, kazał się czekać, od tak dawna obiecywałeś! I nie przyjechać wprost tutaj, ale do Skaly! Nie bardzo ci widać spieszno było.

Alfred uśmiechem grzeczności podziękował.

— Darujecie mi— droga, znużenie— Cóżby to było, żebym tu przyjechał chorować? Byłem prawie chory po podróży.—

— Właśnie do nas należało jechać— przerwała Misia.—

Kto cię tam mógł pilnować w tej ciężkiej chorobie? dodała żartując, ale nie bez myśli, dowiedzenia się także, co zrobił Alfred z towarzyszem podróży.

— Misia *a parfaitement raison*— dorzucił ojciec— trzeba było wprost jechać— mam ci to szczerze za złe.—

— *Vous êtes bien bon*, szepnął Alfred,

ale co się tycze towarzystwa i dozoru przy chorym, tych mi nie brakło.

—A! więc znalazłeś kogoś w Skale? zapytała Misia, wiedząc dobrze, że tam nikogo nie było i że Alfred chce mówić o towarzyszni.

—Nikogo, ale ze mną przyjechał.—

—A! dobrze żeś mi przypominał, przerwał Hrabia (Misia zczzerwienila się i odwróciła)— cóż się stało z tym chłopcem, z tym, z tym jakże bo mn imię? nie przypominam sobie, poddanym moim— który się podobno sposobił na felerera?

—Na felerera? zadziwiony spytał Alfred— nie— na doktora.—

—To prawie wszystko jedno— ale cóż z nim zrobił?

—Jest tutaj.—

Wszyscy się mimowolnie obejrżeli ciekawie.

—Czemuż nie wszedł z tobą? spytała Misia.

Alfred miał odpowiedzieć, ale Hrabia mu przerwał. Czemu nie wszedł? Cóżby tu robił, jest to dowód wielkiego sensu z jego strony, to mi się podoba— Poszedł na folwark— *c'est ça*.

—Za pozwoleniem, kochany stryju, z kolei zaplomieniony odczuwał się synowicie— my się chyba zupełnie nie rozumiemy. Przywiozłem z sobą, rzekł dobitnie mojego przyjaciela, doktora Eustachego— nie wszedł ze mną, bo gwałtowne może wzruszenie, czy inny jaki powód.

—Chory? spytała troskliwie Misia idąc ku drzwiom.

Tu scena się rozdzieliła, Hrabia czuł potrzebę odpowiedzieć razem Alfredowi i zgromić wychodzącą córkę; wściekał się prawie— pochwyciwszy więc Misie za rękę— zawołał żywo.—

—Sui ci się, Alfredzie, przyjaciela!

—Tak jest, przyjaciela, kochany stryju.—

—Człowieka.—

—Bardzo uczciwego i przyzwoitego człowieka, który był ze mną w najpięrszych salonach.

—*Un manant!*

—Stryju kochany, odrzucił Alfred—dziś na urodzenie nikt nie uważa.—

Nie podobna było, straszniejszej rzeczy, surowiej i otwarciej powiedzieć—Otwarte usta Hrabiego, zamknęły się gwałtownie, zacięły, zsiniał, zbladł potem i rzuciwszy okiem na Alfreda.—

—Każdy jest panem swojego przekonania i czynności. Waćpan panie Hrabio, możesz przyjaźnić się z kim chcesz, żyć z kim się podoba, wierzyć w co ci wierzyć każą mędrkowie, ja trzymam się starych obyczajów i wiary—*Un manant est un manant, un villain,— s'il n'est*

pas pis. Ostatnich słów domówił z gniewem, odwrócił się i odszedł.

Alfred zmilkł.—

—Ten człowiek, szepnął do Misi, ma tyle delikatności, że sam wejść nie śmiał, chociażem go o to prosił, ale przeze mnie pyta stryja, czy mu się prezentować i dziękować sobie pozwoli.

—Słyszysz papo! zawołała Misia powtarzając słowa Alfreda z oburzeniem prawie—Prawdziwie—ja niepoznaję papę— z swoim sercem.—

—Proś więc go sama kiedy chcesz—rzekł Hrabia—niech wnijdzie, ukloni się i idzie sobie.—

—Jeśli tak, niech lepij nie wchodzi, zawołał Alfred—nie przywykł do podobnego obejścia.—

—Przywyknie!—przerwał Hrabia, chcesz-że mi go narzucić za towarzysza.—

—Skarżyćby się na to nie można—jest to człowiek.—

—Daj-że mi pokój z pochwałami.

Misia i Alfred radzili się wejrzeniem co począć.

—Idę go prosić — odezwała się Michalina.—

—Jak chcesz, z gniewem mruknął ojciec— i postąpił ku gankowi.—

Drzwi się otwarły, chwilka upłynęła i Misia wiodąc za sobą bladego jak ścianą Eustachego, weszła do salonu. W sieni już poczęła wesolą i ośmielającą go rozmowę. Na widok Hrabiego, który brwi namarszczył i nasrożył się umyślnie, przybyły nie wiedział co począć. Alfred mu dopomógł i sam za niego w kilku słowach podziękował Hrabiemu, który stał także niemy, chciwie pożérając oczyma człowieka, którego przybycie stawało mu się ciężarem. Wszystkich oczy były zwrócone na Boudarczuka; wszyscy się dziwili szlachetnej postawie, pięknej twarzy i temu

wyrazowi siły i męztwa, które go odznaczały.

Hrabia wyszedł na ganek; z ganku mógł słyszeć rozmowę, a świadkiem jej być nie chciał. Uwolnieni od ciężkiej przytomności jego, Misia i Alfred poczęli żywo pytania i odpowiedzi rzucić i chwytać, usiłując wnieść do nich Bondarczuka; aby mu dodać tak pozbytą na progu odwagi; ale napróżno w początku, niezucie swojego położenia, swego poddaństwa jeszcze nie startego, jakas boleść w sercu, odejmowały mowę Eustachemu. Słuch Hrabiego próżno się wyteżał, aby pochwycić słowo z ust jego. Nareszcie Alfred zadał mu umyślnie, tak wprost go dotykające pytanie, że uniknąć odpowiedzi nie było sposobu— Rozmowa toczyła się po franczku, Eustachy tymże językiem, czysto i pięknie mówić zaczął.

Za drzwiami ganku, wielkie było zdu-

mienie Hrabiego i gdyby po Chińsku, po Grecku, językiem najdziwniejszym przemówił, nie byłby go tak zadziwił.—

—Chłop mówiący po francuzku! Było to coś niesłychanego— anormalnego!

—Mówi po francuzku! zawołał w sobie Hrabia— mówi— i dobrze! To nadto! A! rozumiem! rozumiem— i uśmiechnął się w sobie gorzko, smutno, gniewnie.

Łagodny, miły dźwięk głosu sieroty, uderzył uszy Misi, bojaźnią drżący, stał się słodszy niż zwykle; spójrzała na niego z litością i pomyślała— Biedny człowiek! biedny człowiek!

Alfred myśl jej podzielał.

Podawano herbatę; Hrabia z ganku nie powracał, rozdąsany jak dziecko, nie wiedział już jak sobie poradzić. Wuijsć było to uznać się zwyciężonym— nie wchodzić— dziwactwo— Dilemma nieuniknione. Stał w progu, ale nie wiedząc sam jeszcze, co począć. Zaj-

—mówiło go rozwiązanie pytania— Jak ma postąpić z Eustachym? Widok przybyłego, a nadewszystko ta uroku pełna francuszczyzna, zmieniły wielce dawne myśli Hrabiego; wyrazy Alfreda o *przyjacielu*, wpłynęły także nie mało. Co począć? co począć?

—*Qu'il aille se faire pendre ailleurs*— rzekł gniewnie— niechcę go.—

To znów mówił.—

—Mógłby mi być użytecznym— Zobaczymy— Ale tymczasem. Jeśli on przy mnie usiąść zechce? To jednak być nie może— To być może— mówi po francuzku— a więc wszystko być może. Niechby sobie szedł do diabła!

Tymczasem rozmowa się toczyła, coraz swobodniejsza, opowiadano o balach, które Ambassador Austrijski dawał w Berlinie, Eustachy opisywał w pomoc Alfredowi salony. Hrabia zagryzał usta.—

—Był więc tam? Ci ludzie nie szanu-

ją się? Z tego wszystkie złe? Nie już
niema na ziemi świętego! Zaczyna się
od zwalenia *nas* a kończy! — Piekielna
rzecz — On — tutaj — W tém położenie
Hrabiego i wszystkich osób znajdujących się w salonie, skomplikowało się
jeszcze nieprzewidzianym, niespodziewanym wypadkiem.

Turkot nowy dał się słyszeć pod gankiem, Hrabia zbladł jak trup i schwytał się za głowę, postradał przytomność. Stało mu na pamięci, o czém był zapominał zupełnie, że tegoż dnia obiecał go odwiedzić, Hrabia B. F. zwany pospolicie Brygadjerem, gdyż ten stopień zajmował niegdy w wojsku, z którego potem wyszedł nie dość zaszczytnie dla siebie. —

Co począć z Ostapkiem będącym w salonie. Spodziewany gość należał do niewielu już dziś, najosobliwiej dumnych, niepojęcie w klejnocie szlacheckim za-

kochanych ludzi. Dziad jego kradł Xiążąt... na plenipotencij, ojciec kradł jeszcze na jenerałném kommissarstwie, syn ożenił się z wielkiém imieniem; a w miarę tego jak z nizka wyszedł, uadął się najoryginalniój. Był to podpaneł, z dumą i próżnością swój klassie właściwą, wyniesioną do najwyższój potęgi. Nie wiem dla czego nikt się z niego nie śmiał, a wszyscy lękali; prawda, że téj dumie posługiwała złośliwość i język żmij.—

Nasamą myśl, że przybyły Hrabia Brygadjer, może zastać w salonie Ostapka, porwał się za włosy gospodarz, zbiegł z progu i miał wymówić przygotowane już— Idź precz; gdy drzwi przeciwne roztwarte szeroko, ukazały w głębi na tle ciemném rumianą o nizkiém czole, o błyszczących oczkach, twarz Brygadjera, uśmiechającą się wesolo— Za nim szedł z długimi włosy i hiszpańską bródką syn niedawno przybyły z Paryża.

Nie czas już było! Hrabia nasz zakrzuszył się i klnąc w duszy nieprzytomność swoją, pospieszył na przyjęcie gości. Mijając wszakże Alfreda szepnął mu.—

—Prezentuj go, jako przyjaciela, jako Francuza, cudzoziemca, jak djabła— ale nie— Nie mógł już dokończyć, Brygadjer był tuż, rzutem oka policzył osoby znajdujące się w salonie, i zgadując niektóre, domyślając się może reszty, szedł witać.

Eustachy cały zrumieniony, chwycił za kapelusz i chciał uciekać.—

—Zostań, rzekł mu Alfred— jesteś Francuz mój przyjaciel, cudzoziemiec.—

—Za nie nie skłamię.—

—Hrabia rozkazuje— rozgniewasz go śmiertelnie, wyjście twoje z salonu zwróci oczy i podejrzenia.—

—Alfredzie, na wszystko cię proszę— puść mnie.—

—Mówię ci zostań.

Walcząc sam z sobą Eustachy, pozostać musiał, spuścił głowę, usunął się aby być jak najmniej widzianym i patrzył w ogród.

Po niezmiernie czułym powitaniu Alfreda Brygadjer ciekawym, jak wszyscy podpankowicie, szepnął mu w ucho.

—Ten młody człowiek.—

—Doktor, Francuz, mój przyjaciel.—

—A!

Tymczasem Brygadjera syn, Oskar, prawil prześliczne komplementa Misi, która roztargniona udawała, że ich słucha.

—Kto jest ten pan? spytał po chwili.—

—To Alfred mój brat, tamten drugi.—

Już miała prawda wyjść najaw, gdy dosłyszawszy zapytania sam Alfred, dorzucił szybko— Cudzoziemiec, doktor, z którym przyjechałem.

Misia nie wiedząc o woli ojca spojrzała na niego wielkimi oczyma.

—*Un homme très distingué*— dodał

nie nięszając się Alfred— *Voulez vous faire sa connaissance?*

—*Comment donc?*

Oba postąpili ku cofnionemu podgankowi Eustachemu; który widząc ich idących ku sobie, znieszał się niewypowiedzianie. Jemu bowiem jednemu tylko przyszło w téj chwili na myśl, że kłamstwo wydać się musi. Pomimo zmian, jakie strój i włosy robią na twarzy i całym człowieku, pomimo kilku lat przedzielających dzień ten, od pobytu Eustachego z Alfredem w Paryżu— Hrabia Oskar poznać go musiał w końcu, bo się widzieli i niejednokrotnie nad Sekwaną. Alfredowi na myśl to w początku nie przyszło; i w chwili dopiero prezentacji, jak piorunem przeleciało przypomnienie. Wcale jednak nie znięszany zapoznał z sobą Eustachego i Oskara. Ostatni popatrzał chwilę, zdawał się chcieć coś powiedzieć, potem jako

człowiek niezmiernie dbający o sławę dobrze wychowanego, przyjął przedstawionego za Francuza i nie dał poznać po sobie, że się fałszu domyśla. Zagryzł tylko usta nieznacznie. Eustachy był na żarzących węglach— On, co się brzydził kłamstwem, złapany na fałszu! on, co czecił prawdę, jako zasadę wszelkiego dobra, jako rękojmią cnoty— uznany i przekonany o kłamstwo! Słowa nie mógł wymówić! Hrabia gospodarz, ani mogąc się domyślić, że się wyda zmyślenie, odgrywając rolę swą wybornie, pokrył gniew twarzą wesołą i jak najgrzeczniej, zaprosił do koła gości mniemanego cudzoziemca.

Eustachy znówu współnikiem fałszu być zmuszony, wmięszany ciąglemi pytaniami w rozmowę; (bo go, jak u nas zwykle cudzoziemca zarzucono tysiącem)— męczył się niewypowiedzianie. Napróżno Misia starała się go ośmielać

wejrzeniem, uśmíchem, łagodnemi słowami. On i Hrabia siedzieli jak dwaj męczennicy, grając swobodę i wesele. Oskar to się przysuwał do Michaliny, to uważnie i niepostrzeżenie śledził ruchy wszystkie Doktora.—

Nareście coraz bardziej dręczony domysłami i wątpliwością, nieznacznie począł rozmowę z Eustachym, wziął go zlekka pod rękę i wywiódł w ganek.

—Przepraszam pana, rzekł, może to być omyłką z mojej strony, ale.—

—Żadna omyłka panie — gorzko i żywo odparł doktor — jestem tym którego widziales w Paryżu. Ale poddany i włościanin Hrabiego, nie powinienem był znajdować się w tym salonie — wstydzono się mnie i kazano przyjąć, to kłamliwe, którym się brzydzę nazywanie. Nie sądź mnie pan o to — i daj Hrabie — Spodziewam się, że tajemnica.—

Hrabia Oskar parsknął tak potężnym

śmiechem, że wszystkich oczy z salonu ku nim się zwróciły, ale razem ścisnęła za rękę Enstachego— Bądź spokojny!

—Kiedyście powrócili do kraju?

—Dziś, w téj chwili.—

—I przyjął cię?

—Jak pan widzisz!

Oskar znowu śmiać się zaczął.—

— Co za szkoda, że się za Ludwika XIV nie urodził? zawołał po cichu— Trzeba przyznać wszakże, że ma nie zle koncepta, choć mu się wcale na ten raz nie udało. Przez cały czas rozmowy w ganku, oko Alfreda, Hrabiego i Brygadjera nie zeszło z nich, ale ruchy swobodne obu, powierzchowność nie nie objawiająca ~~nadzwyczajnego~~, nie dawała się domyśleć treści rozmowy.— Wchodząc poczęli mówić o Paryżu i wszyscy się uspokoili.—

Najpocieszniejsza było widzieć gospodarza, który walczył ze wstrętem jaki

miał dla chłopca, a musiał związany własnym kłamstwem, sadzić się dla niego na grzeczności, jako dla gościa i cudzoziemca.

Alfred nie mógł się powstrzymać od śmiechu, który jak umiał tłómaczył i pokrywał. Zbliżająca się wieczerna godzina, byłaby jeszcze skomplikowała trudności, gdyby umęczony Eustachy, nie usunął się z salonu pod pozorem bólu głowy.

Nowy niepokój gospodarza.

Dla upokorzenia przybyłca, i aby jak powiadał nie wyprowadzać go z właściwej sfery, Hrabia w pierwszej chwili, kazał mu mieszkanie wyznaczać w naj-
uędzniejszej izdebce folwarcznej. Teraz lękał się, aby wszystko tym sposobem nie wydało się; z przyciskiem więc rzekł, żegnając wychodzącego najgrzeczniej.

—Mieszkanie pańskie z Alfredem—

Kamerdyner przytomny, który wprzód całkiem inny odehral rozkaz względem mieszkania, stanął słupem.

—JW. Graf— począł mówić.—

—Doktor stoi z Alfredem, dodał dobitnie Hrabia, znacząco spoglądając na kamerdynera.

— Przysłyszalo mi się zapewne, że JW. Graf.

—Doktor stoi z Alfredem, powtórzył jeszcze dobitniej z gniewem gospodarz—

W potach i płomieniach, wyszedł nareście z salonu Eustachy, i nieprzytomny dał się wieść kamerdynerowi.

Ale tu się nie kończyły jeszcze męczące dnia tego przygody. Historia Ostapka całej wsi była wiadoma, wyglądano go oddawna, przybycie to wzruszyło wszystkich i zaciekawilo wieś i dwór. Rozmawiano, opowiadano, szyszono, domysłano się.

Ale gdy przybył, nikt go zrazu nie

poznał, przez ludzi Alfreda dowiedzieli się, wyznaczona kwatery w początku potwierdziła wiadomość. Każdy z dworskich inaczéj opowiadając historję Ostapka, chciał go zobaczyć, czatował na niego, ciekawy był charakteru tego chłopka wyszłego na pana. Kamerdyner stary Skalski, szlacheć herbu Leliwa, wiedząc o pochodzeniu Ostapka, miał sobie za niwę przeprowadzać go do kwatery; wskazał więc zaraz w przedpokój ogromnego draba kozaka Dubinę, polecając mu aby *tego pana* zawiódł na stancję Hr. Alfreda.

Z spuszczoną głową stanął, potem ruszył się Ostap, gdy Dubina szydersko zawołał bez ceremonij.

—*Chodym.*

Sto oczu z różnych stron, z pootwieranych drzwi, okien, z za węglów, wymierzono na pochód przez dziedziniec przybyłego Ostapa. Koło folwarku, gdzie

mu naprzód wyznaczono kwaterę, stal tłum parobków, gospodyni, praczki, kuchty, woźnice, oczekując na niego. Pod oficyną także liczna cisnęła się służba. —

—Oto on, to on! szeptali, zbliżając się wszyscy.— Patrzaj! to on!

—E! to nie może być! to nie on!

—Dalibóg, że on!

—Nie on.—

Posłyszał to Ostap, podniósł głowę i oczy łzawe, westchnął i tę ciżbę ciekawą, powitał— Serce mu mówiło, że to są biedni bracia i zabiło na widok nędzy, zezwierzęcenia ich.— Łzy grające pod powieką, potoczyły się wolno po twarzy, nikt ich nie widział. W téj chwili Dubina, otworzył drzwi oficyn i pokazując mieszkanie Alfreda— rzekl.—

—*Ot tutaj!*

My powrócim do salonu.—

Wiecie zapewne czém zwykła nasza rozmowa na wsi. Dzieli się ona powszechnie na trzy kategorie— gospodarską, literacką i potoczną. Gospodarska nigdy nie zjawia się w salonach pańskich lub za pańskie uchodzących, kromi przy kommissarzu zrana, przy gościach— nienchodzi— Literacka trwa krótko i jakkolwiek poczęta, kończy się na francuzkim najnowszym romansie. Potoczna składa się z plotek, opowiadań, domysłów, nowinek. Jest to coś w sposobie higosiku, który po szlacheckich domkach dają na wieczercę, zebrawszy różne mięsiwa obiadowe ku temu celowi, z octem, rodzenkami, jabłkami i t. p.

Tego to rodzaju klejona i zbierana rozmowa, swobodniejszą płynącą korytem od czasu wyjścia Eustachego, trwała w salonie— Brygadjer, jakby ciągle miał na sercu, wylegitymowanie się ze

swych stosunków z panami, nieustannie przywoził imiona wielkie, hrabiów, książąt, baronów, z któremi żył, do których pisał, których był krewnym.

Poszło to już u niego we zwyczaj.

Młody Oskar mówił ciągle o Paryżu; o niczem inném, tak łatwo, pięknie i z takim nie opowiadał natchnieniem. Misia słuchała go figlarnie, szydersko—Alfred zgryziony, pomieszany, rzadko się wnięszał w rozmowę. Hrabia gospodarz nadzwyczaj mówny, udając niepojętą dla nikogo wesołość, mówił najwięcej, mówił z wszystkimi, do wszystkich, o wszystkiém, z gorączkowém zajęciem.

Okolo dziesiątój wszyscy się rozeszli znużeni; Alfred pośpieszył do swego mieszkania, aby co prędzej przyjść w pomoc przyjacielowi.

—Gdzie Pan Eustachy? spytał na progu, nie widząc go.

—Był tu, kazał przenieść swoje rzeczy.—

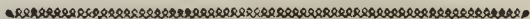
—To dobrze—gdzież jest?

—Niewiem, wyszedł.

—Dawno?—

—Więcej godziny.—





V.

Pokoje przeznaczone dla Alfreda, wychodziły jedną stroną na ogród, przez którego topole i olchy stare przeglądał biały mur kapliczki. Noc była cudna, spokojna, cicha, niebo lazurowe, kilka jaśniejszych gwiazd na niém i księżyc w pełni.— Gdy Eustachy zbywając się dłuższej męki uciekł do przeznaczonego mu mieszkania, przeszedłszy jak przez różgi pod wzrokiem ciekawych dworskich, upadł na najbliższą kanapę i bezmyślny spoczywał czas jakiś, nie umiejąc własnych myśli rozplątać. Snuly mu się po głowie, tłumne, bezładne,

z różnych chwil życia powyrywane i w jedną nieforemną zwinięte całość. Dzieciństwo, młodość, przesuwaly się cieniami czarnemi, jasnymi; pobrawszy się za ręce, niepodobne sobie, a zbra-
tane z sobą.

Widział się biedném dziecięciem na-
giém w pośród chat popalonych przytul-
ku szukającém, potem wychowawcem
Hrabiny, uczniem w szkołach prześlado-
wanym, przyjacielem Alfreda, nareście
czém został dziś na chwilę, gościem
swojego pana.— Co będzie dalej, pytał
w duszy, pytał i nieumiał nawet domy-
śleć odpowiedzieć. Powoli jaśniej, wi-
doczniej rysować się wszystko zaczęło,
ochłódł, powstał i przycisnął się do drzwi
wiodących do ogrodu. Naówczas spój-
rzenie ku wsi rzucone, zabiło sercem—
nieznany ojciec, matka, rodzina wie-
śniacza, chata, smętarz wiejski poczę-
ły go wywoływać ku sobie. Nie mogąc

się oprzeć uczuciu, pochwycił kapelusz i wyszedł.

Długo błądził po cieniistym ogrodzie, póki się opamiętał dokładnie, gdzie był i którędy mógł wyjść na wieś. Furtka z wewnątrz zamykana wywiodła go w trakt, który przez wieś przechodził; zwrócił się ku niej.

Nieźyc w pełni unosząc się coraz bardziej ku górze, oświecał ulicę wiejską, szeroko rozbudowaną i daleko się ciągnącą.

Po obu jej bokach czerniały jeszcze w ciemni stojące chatki niskie, ciemne, w których okienkach gdzieś tam połykiwało czerwone światło— Po nad dachami domostw wierzba rozezochrana, brzoza wysmukła, brzoza w białej sukience, osina z drżącymi liśćmi wznosiły się jak cienie strażnicze— Tu i ówdzie w ulicy, w dziedzińcyku

żuraw studni szyję długą wyciągał; komin zakopcony się wysunął wyżej. Dalej jeszcze Cerkiew o trzech kopulach, o krużgankach mrocznych odbijała się na wyjaśnioném niebie, ciemno dołem, jasną górą, blachą obita.— Z za plotów misternie skleconych, z słomy, patyków, ziemi, krzewów, zawieszala się wiśnia, jabłoń, stara grusza osmalona. Cicho było na wsi— cicho; gdzieś tam śpiew smutny, głos stłumiony się odzywał, a z dalekiej karczmy tylko wrzawa, skrzypce i cymbały brzęczały. Ten krzyk pijanego wesela, jeszcze dobitniejszym czynił smutek tej wsi jakby pustej, jakby wymarłej. Wszyscy już byli po cbatkach, niektórzy spali.

Ostap szedł z uczuciem nieopisanéj tęsknoty przez wieś, szukając rodzinnéj chaty.

Pamięć jego żywo mu przedstawiała miejsce na którém stała, zgłiszczona spa-

lonego domostwa, rozwalony piec, sterczące niedogorzale węgly.—Szedł z bijącym sercem ku niemu; ale inaczej je znalazł.

Podwórko zagrodzone, chata nowa—stara tylko grusza jeszcze się trzymała, jakby na świadectwo, że tu było zgłiszcze owe. Poznał Ostap rodziną sadybę—oparł się na częstokole i zadumał.

Falszywe było zapewnienie Rządzczy, który Hrabiemu ręczył, że Ostap nie ma krewnych nawet we wsi. Rodzice jego zmarli byli wprawdzie z gorączki, ale krewni, babka stara żyła; po uspokojeniu w r. 1815, wrócili wszyscy. Ostap póki był w kraju często ich widywał; ale teraz dawno już, wieści nawet nie miał o nich, nie wiedział czy żyli. Brat ojca zajął chatę po zmarłym i mieszkał w niej z babką—Kiedy Ostap wyjeżdżał z Alfredem zagranicę, lepiąc

ka tylko pół w ziemi, pół nad nią, tuliła biednych nowo-osadzonych. Teraz znalazł już chatę i ciekawie wpatrzył się w nią, by odkryć z powierzchowności, jaki był stan krewnych.

Ostap jak wszyscy wydziedziczeni z przywiązania, z familijnych związków serdecznych, pożądał ich i pragnął; co było w nim miłości, wylał na krewnych. Z niespokojną więc ciekawością puścił wejrzenie w podwórko.— Zawarte płotkiem i bramą niezgrabną, ciasne, błotniste, z jednej strony ogródkiem, z drugiej chlewkami zamknięte, zarzucone było w téj chwili wozem niedawno wyprężonym, plugiem i kilką kawalami osiczyny. Ten sprzęt i zapas zajmowały całe prawie; ciasna ścieżka pazdierzem konopi wysłana, wiodła do niskich drzwi chaty. W jej okienku błyskało jeszcze chwilami zadymione światelko.

Ostap wszedł wzruszony, pies zerwał

się z przyzby i powital go natarczywém szczekaniem. Skrzyły drzwiczki, głowa się wychyliła i popatrzywszy znikła; po chwili druga głowa ciekawie się wysunęła, pies ujadł jeszcze, ale coraz ciszéj, jakby go czujność mieszkańców, nwalniała już od obowiązku.

—Dobry wieczór! rzekł Ostap.

—A kto tam? spytał głos z chaty.—

—Ostap Bondarczuk!

To mówiąc przystąpił do drzwi.—

—Ostap! Ostap! powtórzyło kilka głosów po cichu— *Ostap pryichau.*—

Z sionek ciasnych wysokim od izby przedzielonych progiem weszli do niéj, naprzód dwaj chłopaki, co w sionkach stali, Ostap za nimi. W izbie było prawie ciemno, luczywo blado paliło się na kominię przed piecem i dogasało, dym osłaniał głąb chaty— Z początku nie można było dójrzeć twarzy blisko nawet siedzących.

Swietlica niczém się nie różniła od

zwyczajnych, nie zasługując wcale na nazwisko swoje, bo dwoje ciasnych okienek, mało do niej bardzo wpuszczały światła. Piec niezgrabny, zaraz od drzwi się poczynający, z przypieckiem za łóże i ławę służącym, zalegał część jej znaczną.— Pod ścianami z nieładliwych opilków, chwijące ławy stały, w rogu dzieża pod ikonami i stół od siekiery obrobiony, z cieńkich drzewa kawałków. Warsztat tkacki kradł jeszcze jedną ścianę, a za nim biedne, niskie łóżeczko, z posłaniem ubogiem się skryło. Od belki wisiała na sznurze kołyska. U drzwi ceber i wiadra, beczka, rozmaity sprzęt kuchenny z garnków powiększłej części złożony, kąt cały zajmował.— Ciasnota była nieznośna, powietrze duszące, parne, przesiąknięte wyziewami jadła, dymu, tytoniu, odzienia. Niewielki alkierzyk ciemny i ta izba służyły za pomieszkание całej rodzinie skła-

dającą się teraz z dwóch braci siostry, żony starszego, dziecka małego i starą babki. Za posłanie służyły im piec, przypiecek, wilgotna w tok ubita z gliny podłoga, jedno łóżko, jeden kąpiel w alkierzu wolny; w lecie wyżki i stodoły. Izba świetlicą zwana była wszyskim—malenkie sionki mieściły trochę drobiu, karmionego wieprzaka i graty gospodarskie. Ledwie się było gdzie przecisnąć. Nie pytaj o zdrowie, tam gdzie niema powietrza nawet, a woda na głowę przez dach, do nóg wilgotnym podstępnie tokiem, gdzie w zimie dym ogrzewa powietrze; od pieca bucha, od ściany wieje, a na wiosnę kałuże stoją w sieni i izbie, tak że często wodę z niej wylewać potrzeba.

—Ostap! powtórzyło kilka głosów.

—Jak się macie— a babka?

—Żyje.

—A stryj?

—Na mogiłkach.—

—A wy?

—Jak widzicie! żyjem, biedujem.

—U was babka?

—U nas, ale śpi starucha, odpowiedział starszy brat.—

Wszyscy otaczali Ostapa ciekawie, dwaj bracia stryjeczni, siostra, bratowa z dzieckiem na ręku obstąpili go, patrzali, dziwili się.

Bracia byli młode chłopaki, różne, silne, wyrosłe; starszy żonaty wejrzeniem i twarz miał wyrazu chmurnego, młodszy kilkonasto-letni, chytrą i szyderską fizjonomję. Nie patrzył nigdy w oczy, ale zawsze ukradkiem i uśmiał się sam do siebie tajemnie; czoło zasłaniał włosami, jakby się bał, by na niem myśli jego nie wyczytano. Drugi przeciwnie niósł czoło górami, — ale czoło porane wczesną zmarszczką, smutne, z oczyma ponuremi, łzawemi.

Siostra ich dziewczyna lat dwódstu— czerstwa, rumiana, z niebieskimi oczyma, uśmiechającą się twarzyczką, szerokimi różowymi usty, wydatną piersią i silnymi rękami; cała tchnęła życiem, co to na jutro nie patrzy. Wesola piosnka, taniec niedzielny, zalotne szeptu wieczorne mały jej pracowite życie.—

Bratowa, smukła brunetka, cieńka w pasie, szykowna, oczy miała czarne błyszczące, usta wąskie, nosek prosty i kształtny, była ładna; ale praca ciężka wszelki wyraz prócz znużenia odjęła rysom dość pięknym. Któż nie wie jak ci ludzie pracują? Któż się ośmielił zdziwić ich smutkowi? Dziecię na ręku kobiety, male, blade, schorowane, drżemalo kolysane, a blask łuczywa podżegnionego padał na twarzyczkę jego okrągłą ale żółtą.—

Taka była rodzina Ostapa, którą on

powitał całując twarze, ściskając ręce ze wzruszeniem niewymówném; a w sercu mu głos mówił boleśny.— Co za ciężki los— co za dola! czemuż nie jesteśmy razem! cierpiąc razem lżej by było.—

Ci ludzie tak dziecinnie ciekawi, tak rzadko mający czém pragnienie nowości zaspokoić, otaczali go, każdy ruch, skinienie, słowo badając, wpatrując się w suknię, w postawę, twarz.—

—I ktoby to powiedział, że to nasz brat! zawołał starszy ściskając go serdecznie— Pan Bóg wam dopomódz powinien, że o swoich nie zapominacie. Siadajcie.

Biorąc go za rękę, gospodarz chaty Fedko posadził na ławie przy sobie; drugi brat za drugą rękę porwawszy, przyparł się z innéj strony, bratowa i Zoja siostra stanęła naprzeciw nich.—

—Powiedzcie mi, rzekł Ostap, jak

wam tu było, jak jest, długi, długi czas niewidzieliśmy się— stryj umarł.

—Umarł! ponuro rzekł Fedko— rok temu, nie swoja śmiercią!—

—Jak to?

—Ziemia go zasypała, gdy piasek kopał; nimeśmy się dogrzebali,— nieżył. Nie pochowali go nawet na święconej ziemi! I potrząsł głową smutnie— Taki koniec nas wszystkich.— Pokój mu na wieki— Dość się napracował za życia.

—Lepiej wam teraz, graf sam mieszka.—

—Lepiej — podchwycił Fedko— O! dobrze wam, że tego dobra nie znacie— Nie mówmy o tém, wyście Ostapie wychowaniec, ulubieniec.

—Ja! i gorzko uśmiechnął się Ostap.—

—A my, kończył pierwszy, nieby o nim dobrego powiedzieć nie mogli— kat na ludzi.

—Co prawda to prawda, przerwała

Zoja żywo, nigdy u nas tego nie bywało co teraz. Sam o niczém nie wiem, nie rozumiem, ekonom męczy i znęca się—
Ja w fabryce.—

—W jakić?

—A! sukienkę założyli.—

—Janka jeszcze chcieli na flis wyprowadzić.—

—Któżby pańszczyznę robił? spytał Ostap.

—A któż, ja i żonka, rzekł Fedko ruszając ramiona.—

—A koło domu!—

—O! o to się nie pytają.

—Szczęściem, śmiejąc się dorzucił Janko, ja tak tego na nogę zakulał, że na flis nie poszedł. Dopiero, gdy flisacy ruszyli, ozdrowiałem— A cóż było robić!

Bratowa ułożywszy dziecko w kolyskę, przyszła do Ostapa i spytała w pół jego, w pół męża.

—Czemby my gościa przyjęli? Wódki pewnie nie pijecie?

—Dziękuję — rzekł Ostap. Dawno czarnego chleba, naszego chleba nie jadłem, dajcie mi go kawalek, przyjmiecie mnie najlepiej.

—Suchym chlebem to tylko dziadów przyjmują zawołał Janko, wstyd nam chcesz robić, jakby to już u nas nie było więcej! Toć jest i słonina i.—

—Chleba i wody! powtórzył przybyły, nie nie chcę więcej— chleba czarnego, którym żyłem w dzieciństwie i wody z naszej krynicy.

—Ja świeżej przyniosę, wyrwała się Zoja wesola, i chwyciwszy wiadro w silną rękę wybiegła szybko, zaśpiewawszy piosenkę.—

—Albo to tobie tęskno było za czarnym chlebem na białym żyjąc? spytał Fedko.—

—Nie wierzysz? Nie raz za nim i za ro-

dziną tęskniłem, smutnie rzekł Ostap.—
Swoja ziemia ciągnie ku sobie, choć
gdzie i lepij!

—O! to prawda! powtórzyła hrato-
wa—nie to swoja ziemia, a nawet swój
ką. Nie daleko nasza wieś, a mnie i
za nią tęsko—Jak wyjdziemy na pańsz-
czynę, oczy obracają ku drzewom, co
to je widzieć w dali, aż mi słodko tam
patrzeć.

Kiedy tak rozmawiają, a Janko pod-
sycą hojnie luczywo, aby chatę oświe-
cić—z za warsztatu tkackiego, podnio-
sła się i zabielała postać dziwna, jakby
z ciemnego nagle wyrosła kąta. Była to
stara babka Kulina; rozniecony ogień
padał na nią z boku i oświecał fanta-
styczny potwór, który gdzieindziej był-
by każdego przeraził.

Wysoka, wychudła, w pół zgięta, z su-
chą nogą, żółtą piersią, której kości

poliezyć było można; napięta plachtą brudną, powstała, wyciągnęła szyję pomarszczoną i rękę chudą, czarną, suchą—Roszula siwa, gruba, spodnica takąż i fartuch służący za pokrycie, całe jęj stanowiły ubranie. Na głowie rozczochrany siwy włos, walał się zdawna grzebieniem nietknięty, z pod niego żółte skronie, na których skóra do czaszki przyległa, pomarszczona, sfaldowane występowały. Oczy głęboko white, zagasłe ledwie się ostatkiem życia świeciły jeszcze trochę, nos opadł na wargę dolną, a szczeka spodnia wzniosła się do góry—W tój chwili otwarte miała z podziwienia usta i z czarnego ich otworu, sterczał jeden zęb niedojedzony.

Zbudzona ze snu, Kulina wstała i wpatrywała się ciekawie w niezwykłą scenę—Domyślała się, że to Ostap był przed nią, ale mary snów nocnych,

jeszcze się w jój głowie nierozeszły, wątpiła widzi-li lub marzy.

—O téj porze, w nocy, coby tu robił?

Fedko trącił ręką brata i wskazał mu staruszkę, Ostap pośpieszył ku niéj.—

—A! to ty! to ty! zakrzyczała płacząc—myślałam, że cię już oczy moje nie zobaczą, kochane dziecko. Bóg z tobą! powróciłeś! ale stryja nie zastałeś! Umarł!

I poczęła lzy ocierać schudzoną ręką.—

—Jakże się masz? jak się masz? Lepiej-że tobie na świecie niż nam? moje dziecko? niechaj się choć tém serce poraduje, dusza pocieszy!

Ostap nie odpowiedział.

—Milczysz? rzekła! I tobie nie lepićj! tak się Bogu podobalo, niech tak będzie—Ot Bóg dał Fedkowi żonkę, a mnie prawnuka! A ty, nie ożenił się gdzie czasem za morzem.—

—Ja! nigdy! nigdy! przerwał Ostap—

na co mi się żenić! Samemu ciężko na świecie, a we dwójgu.

—Lżéj— rzekła stara— wierz mi.

Zoja wpadła do chaty z świeżą wodą kryniczną.—

—Będzie wieczernica, zawołała— cała wieś się wali do nas. Szłam po wodę, spotkałam się z Wasylem, chciał mnie zatrzymać, powiedziałam mu, że niemam czasu, bo śpieszę do gości; jak się dowiedział kto u nas, tak pędem pobiegł do swoich. Ze wszystkich stron się schodzą.—

—Nie trzeba było mówić— rzekł Ostap— kto wie co pan o tém pomyśli!

—Prawda, prawda, przerwał Fedko— możemy się i później zobaczyć— a tak na razie— pójdę im powiem.

Jakoż pośpieszył na podwórek, gdzie się już szmer nadchodzących słyszeć dawał. Tymczasem Kulina narzuciła na siebie wyszarzaną siermięgę, bo innych

starzy nie noszą, i przysłała się na ławie, aby rozpytać lepij Ostapa. Postawiono chleb, sól i wodę przed gościem.— Wziął w usta dawno nie kosztowanego chleba i sparł się smutny na stole.— Janko pobiegł był już za wódką do karczmy; żadne przyjęcie bez niej obejść się nie może, a choć Ostap oświadczył, że jej nie pije, choć postawić ją na stole należało.—

Jeden tylko stary Roman Kroba wszedł uprosiwszy się u Fedka do chaty, inni choć nękami ciekawością dali się nakłonić do rozejścia, stanęli o podal i gwarzyli w ulicy.— Roman był najpoważniejszym, najstarszym we wsi gospodarzem. Wysoki, silnej budowy, ogorzwały na czarno prawie, z wygoloną po staremu głową, na której wierzchu trochę siwych włosów zostało, z zapuszczoną srebrzystą brodą, w siwej sukmanie, opierając się na kij, wszedł z po-

klonem do chaty i ciekawie zbliżył się do Ostapa.

—Ktoby to powiedział, zawołał po chwili, że to biedne dziecko na takiego panicza wyjdzie! Pamiętam, jak u nas byli Francuzi, sierota chleba prosił— ot szczęście!

—Szczęściem to nazywasz Romanie? rzekł Ostap. Oj! stary! ja wam zazdroszczę.—

—Tać to gadać wolno— odpowiedział starzec kiwając głową, ale prawda prawda— Przynajmniej macie czas panu Bogu się pomodlić, podumać, odpocząć a choćby popłakać— Człowiek i na to czasu nie ma— Mnie siedemdziesiąt kilka lat, a za plugiem jeszcze chodzę.

—Praca mój stary, nie jest nieszczęściem.—

—A cóż? spytał naiwnie Roman.—

—Niespokoj w duszy.—

—A jak ma być spokój, kiedy człek

pracuje, i rok cały przepociwszy się na zimę i wiosnę ledwie kawalek ma chleba.—

—Wam na to nie narzekać— odczytywała się Kulina, bo wy macie dwuletnie żyto.—

—Ja! ale drudzy nie mają— wszystko to jedno— Dziś u mnie jest, jutro nie stanie. I mnie zniszczą, jak tamtych poniszczyli, co z samopłujących, na ogrodników przechodzili.—

—Cyt! rzekła stara— a na kto pod słucha.—

—Ja to im w oczy powiem.—

Kilka tak razy rozmowa różnie poczynana, zawsze się na nżaleniach kończyła; ilekroć zejdą się wieśniacy nasi, muszą wypowiedzieć, co im na sercu ciąży— I nie dziw;— skarga wzdyma na chwilę żal i podnosi, ale potem lżej po niej.

Poczęły się częstowania w koło, kie-

liszek chodzić zaczął i utyskiwania z nim razem. Każdy opowiadał swoje dzieje—swoje utrapienia— przytomni często sami stękając z cudzych przygód się śmieli.

Jest litość w ich sercach, ale nieznajdziesz jej często na ustach; ztąd najfalszywsze wypływają sądy. Łatwiej się jej czynem objawić, niż wysłowić.

Obraz jaki w téj chwili wewnątrz chaty przedstawiało, wart był pędla malarza, tak oryginalny i malowniczy.— W pośród ogorziałych wieśniaków, biała piękna twarz Ostapa, jaśniała smutkiem i powagą obleczone, obok niej siwobrody Roman, zgrzybiała Kulina, rumiana i uśmiechająca się Zoja, smętna Fedkowa, ponury mąż jej, szyderski Janko grupowali się w jedną całość, na tle ciemném głębokiém chaty żywemi światły oświeceni. Zoja niespuszczała z oka Ostapa; wesole dziewczę, pamiętało go chłopięciem i kochała dzie-

ciną będąc jeszcze. Teraz odżywały uczucia na widok dorodnego mężczyzny; ale bojaźliwie racbując jak daleko było od niego do niej. Sto razy niebieskie oko kierowało się ku niemu i zawracało ku ziemi, poprawiała włosy, spoglądała po sobie, szukała czy na nią nie spojrzę— On nie patrzył. Cały zajęty starą i braćmi, nie uważał prawie siostry.

Czas upływał szybko i Ostap nareście zabrał się do wyjścia.

—Przeprowadzę cię, rzekł Fedko—
wszak we dworze stoisz?—

—We dworze, ale mi czas wracać—
chodźmyż—Wszystkich oczy przeprowadziły znowu wychodzącego. Sami z bratem powoli szli ulicą.

—Teraz, kiedy my sami, rzekł brat
z cicha—możesz mi powiedzieć i ja spytać mogę—co z sobą myślisz bracie?

—Alboż wiem! rzekł Ostap— alboż

o sobie myśleć i sobą rządzić mogę? Zrobię, co mi każą. —

—To ciebie nie uwolnili?

—Nie— i niespodziewam się tego— Graf mnie nigdy nie lubił.

—Cała nadzieja na paniencę, to dobre serce— i gdyby mogła.—

—Ale możeż cokolwiek?—

—W małych rzeczach— Bóg z nami— jakoś to będzie.

Ostap miał się zawrócić już do dworu— ale serce wiodło go gdzieindziej— Od pierwszego kroku za wrota, ciągnął się ku smętarzowi— mogiła matki i ojca wlokła go ku sobie— Ale żądanie to, wśród nocy, tak się musiało dziwném wydać Fedkowi, że o niem nieśmiał wspomnieć. Aż przemógłszy się.

—Fedko, rzekł— byłem u żywych, trzeba pójść pokłonić się umarłym.

—Gdzie? spytał drugi zdumiony.

—Na mogilę.

—Po nocy?—

—Tém ci lepićj, nikt nas nie zobaczy, a chceś mi się uklęknąć i pomodlić za ojca i matkę. Pójdziesz ze mną?

Chwilkę namyślał się wieśniak.—

—A duchy?

—Nie nam złego nie zrobią, idziemy z modlitwą.

—Chodźmy. A gdybyś był sam poszedłbyś? spytał Fedko.

—Poszedlbym.

—Już i ja się nie boję niczego w dzień, ale w nocy! Na Smętarz! Piérwszy to tam będę.—

Zwrócili się więc uliczką w dół, po za stodołami idącą ku wzgórkowi, na którym widać było kilka krzyżów i bramkę na wale otaczającym ostatnie pomieszkanie zmarłych.

Szli w milczeniu—Ostap dumal.

Otworem zastali drzwiczki, a mogiły chwastami zarosłe, wysoką trawą i łarnem.

Na prawo pod kamiennym krzyżem była mogiła Bondarczuków — Fedko wszedł żegnając się i nie bez strachu; przybyły ukląkł i modlił się długo.—

Gdy powstał, trzecia ciemna postać ukazała się w drzwiczkach smętarza nagle. Fedko przeraźliwie krzyknął i odskoczył, wołając.—

—Duch! duch!

—To ja!— odpowiedział głośno Alfred— chodźmy.

—To ty? tutaj?

—Ja— czas wracać— pożegnaj towarzysza, ruszajmy, od godziny cię szukam, byłem niespokojny— szczęściem postrzegłem dwa cienie ku smętarzowi się wlokące, domyśliłem się, że to ty.

To mówiąc wziął Ostapa pod rękę i rzucając Fedka, który miał słomiany kapelusz w rękach, nierozumiejąc, co to znaczyć miało, pociągnął go z sobą.

—Musimy się rozmówić, rzekł Al-

fred uszedłszy kilka kroków— Widzę ze wszystkiego, że ty z moim kochanym stryjem, porozumieć się nie potraficie. On w tobie widzi poddanego, chłopą, słowem istotę— nie mówmy o tém.—

—Istotę co niewarta zbliżyć się do niego.—

—Pozostać tu nie możesz.—

—Nie mógłbym, gdybym nie musiał.

—Właśnie o tym mniemamy mówić mamy.—

—Złamać go niepodobna.—

—Ja myślę przeciwnie. Hrabia cię uwolni.—

—Nie zechce.—

—Ja — pozwól i nie obrażaj się— ja z nim o to traktować będę.

—Słuchaj Alfredzie, rzekł głośno pełnym wzruszenia Eustachy— Winienem mu moje wychowanie, nie mam się czém wypłacić, wypłacę się pracą. Mógłbyś wprowadzić za mnie i zapewne myślisz o tém, ale ja na to nie pozwo-

lę. Dość ludzi kosztowałem, czas samemu myśleć o sobie. Ciężki może, upokarzający los mnie czeka, ale go zniosę mężnie. Jeszcze słowo—mam obowiązki, rodzinę, ludzi biednych, braci wieśniaków, których opuszczając samotnie, byłbym winien na sumieniu. Zostając tu będę im użytecznym—zostanę. Jakkolwiek wielki dzieli nas od siebie przedział, ja ich kocham. Alfred w milczeniu, uściśnął rękę przyjaciela.

—Posłuchaj mnie, rzekł — ślicznie mówisz, ale to są marzenia. Zostając tu, cóż ty potrafisz jeden, bezsilny przeciw wszystkim? Kochasz ich, a patrzeć będziesz zmuszony na męki braci, nie mogąc na nie zaradzić. Co się tycze kosztów położonych na ciebie, dopiero w téj chwili wyznać ci muszę, że większa ich część, z innego niż myślisz wypłynęła źródła. Jesteś więc wolny. Za-

klinam cię pozwól mi mówić z Hrabią. Z dzisiejszego przyjęcia widzę jak mu ciężysz, zgodzi się na to łatwo—Później, stałbyś mu się potrzebnym i byłbyś więźniem na wieki.

Ostap myślał.

—Zostanę tu, rzekł—nie mów Alfredzie, że się na nie biednym braciom nie przydam; słowo pociechy, grosz posiłku są wielką dla nich rzeczą.

—Ani słowa twego, ani grosza panem nie będziesz, przerwał pierwszy—zostając tutaj—oswobodzony lepić im użytecznym być potrafisz. Zresztą—może być, że się ułożę z Hrabią o uwolnienie twojej familij.—

—Familij! zawołał Ostap—cała wieś mi familją, wszyscy ci biedni bracia, jedna u nas krew płynie Alfredzie, a krwi siła potężna. Czuję to w tej chwili—Chybabyś uwolnił wieś całą i pozwo-

lil mi zabrać kości rodziców, inaczéj—
inaczéj złąd pójść nie potrafię.—

—Zimniéj hierz rzeczy, Enstachy.

—O! gdybym-że umiał.

—W téj chwili może, ale namyśliw-
szy się.—

—Myślałem o tém nie raz.—

Alfred zamilkł. Weszli w topolową
ulicę wiodącą do dworu z boku, i mil-
cząc przebyli dziedziniec. W pokojach
Alfreda zastali nieznanomego jegomo-
ści z ogromnemi w pół siężące czarn-
mi bakembardami, wytrzęszczonemi o-
czyrna, wąsem zawieszistym, w surducie
na wszystkie guziki zapiętym. Alfred ze
zwykłą sobie grzecznością przystąpił do
niego, jakby pytał co tu rabi.—

—JW. Graf pozwoli, mam dyspo-
zycją JW. Pana.

—Dla mnie? spytał Alfred.

—A! uchowaj Boże, Jaśnie Panie!—
Do Ostapa Bondarczuka, rzekł z przy-

ciskiem głos podnosząc. Alfred zczerniał.

—Nim WPan co masz mówić powiesz— rzekł szybko— pozwól sobie oznajmić, że P. Eustachy, jest moim przyjacielem, i że choć go macie w Skazkach, możnaby go grzeczniej nazwać.

—Zprzeproszeniem Jasnego Pana, odparł Rządca żywo— nie zwykłem do chłopów mówić inaczéj.—

Ostap widząc na co się zanosi, gdyż Alfred za jedno jeszcze słowo, byłby wyrzucił za drzwi gbura, postąpił naprzód i rzekł spokojnie.—

—Co mi pan rozkaże?

Rządca dumnie zmierzwszy go wzrokiem rzekł.— Jasny Graf chce, abyś wyjechał jutro rano do wsi Białej Góry i zajął się szpitalem, żyd arędarz ma polecenie go zawieść, kwatera wyznaczona w bliżkiej chacie; gdzie i charczować będą— Dozór lazaretu pod jego odpo-

wiedzialnością, gdyż dotąd był Moszko cyrulik, ale ten pójdzie precz. Furman-ka przyjdzie jak świt. Bez zawołania i pozwolenia, JW. Graf nie pozwala mu się oddalać ani krokiem.

—Dobrze, zrobię jak mi każą. To cała dyspozycja?

—JW. Graf kazał dodać, że ze swęj laski daje mu rocznój pensij sto złotych i odzienie.

Ostap nie nie odpowiedział; aby pojać jak to mu boleśném być musiało, dodajemy, że słudzy Alfreda byli przytomni.

—Proszę jednak pomimo dyspozycij, wstrzymać się z wyprawą, bo ja o tém jeszcze rano z Grafem mówić będę.

—Ja spełniać muszę, odrzekł wychodząc Rządzca— czekać mi na nic nie kazono.

Alfred, w którym krew wrzéc poczynala, zerwał się i poleciał do palacu.

W pokoju Hrabiego paliła się jeszcze lampa, i słudzy powiedzieli, że nie śpi; jak piorun wpadł tam synowiec. Hrabia chodził z rękami w tył założonemi, zamyślony.

—A! ty tu! o tój porze.—

Zdawał się zmięszany.

—Przyszedłem, zawolał hanując się Alfred— bo do jutra czekać nie mogłem z prośbą, którą mam do stryja.

—Cóż to jest? coś tak pilnego?

—W istocie, spaćbym nie mógł z myślą, że jutro mi przyjaciela odbiorą— Kazaleś wyjeżdżać Ostapkowi.—

—Kazalem.

—Do Białej góry do szpitalu?

—Najstosowniejsze miejsce zdaje mi się.—

—Kochany stryju, rzekł Alfred, o jedną cię łaskę proszę— nigdy może w życiu nie zażądam drugieej.

Jasna myśl jakaś przebiegła po głowie stryja, uśmiechnął się.

—Czegoż chcesz powiedzieć mi, abym go uwolnił?

—Właśnie— ale nie żebyś go uwolnił.

Wracam za niego koszta jakie poniosłeś.

—Panie Alfredzie!

—Kochany stryju, to sprawiedliwa!

—Kochany synowcze, a gdybym przyjąć nie chciał?

—Daję ci w zamian z moich ludzi.—

—A! zapewne! Ciekawym kto tak utalentowanego zastąpić potrafi człowieka, rzekł stryj szydersko.

—Pieniądz— krótko odparł Alfred.

—To potrzebuje namyslenia i czasu— marszcząc się rzekł Hrabia— a może, całkiem go nie ustąpię.—

—Stryju! niewiesz jak mnie srodze męczysz.—

—Ciebie?

—To mój przyjaciel.

—Pozwól się przestrzedz, że szczególniejsze dohierasz sobie przyjaźni.—

—Patrzę na serce.—

—Ale zdaje mi się, że niedość jest na nie patrzeć, winienes coś imieniowi, które oba nosim; jako opiekun.—

—Stryjko kochany, jestem pełnoletni.—

—Dziękuję za przypomnienie—jesteś zupełnie wolny—Rób więc co ci się podoba i pozwól mi powiedzieć sobie, żem pełnoletni także.

—Nie dasz się więc uprosić?

—Zostawiam to do namyslenia.—

—Ale takie postępowanie z takim człowiekiem.—

—Jestem sędzią moich postępków—sucho odparł Hrabia. Zamilkli.

Alfred wziął za kapelusz.

—Życzę dobrej nocy i żegnam, rzekl.

—Jakto, żegnam?

—Wyjeżdżam jutro rano?

—Coż to jest?

—Po prostu wyjazd, kochany stryju.—

Hrabia udał, że się trochę pogniewał, ale nie nie rzekł, wyciągnął rękę i uklonił się.

Alfred wyszedł.

—Stryj spójrzal na drzwi i pocierając ręce— rzekł do siebie.

—Wybornie—dwóch razem się pozbędę— Misia zostanie Xiężną.

I uklonił się ku drzwiom.





VI.

ALFRED wychodził gniewny, pomięszany, niespokojny z pokoju stryja i wracał szybko do swego mieszkania; gdy w korytarzu spotkał idącą naprzeciw siebie Misię.

Z twarzy poznać było można silne wzruszenie i oburzenie jéj.

—Słyszałam wszystko, odczuwała się do Alfreda prędko.—

—Słyszałaś?

—Wróć ze mną.—

—Dokąd?

—Pójdziemy do niego raz jeszcze—
spodziewam się go przekonać.—

—Bardzo ci dziękuję, w imieniu moim i jego, odparł Alfred, ale to mi się zdaje napróżno. Gdyby o życie chodziło, nie zwykłem prosić dwa razy.

—Nadto dumy, kochany kuzynku—gdyby o własne życie chodziło, nie mówię, ale gdy chodzi o kogoś innego, o cudzą sprawę. Pozwolisz-że się znęcać nad nim, niechcąc spróbować nawet.—

—Słyszałaś, próbowałem—rzekł Alfred.

—Pozwól mi przyjść wam w pomoc; zdaje mi się, że użytecznym będę sprzymierzeńcem.

—Probnij Misiu, ale uwolń mnie od kroku.

—Będę śmielsza, jeśli pójdiesz ze mną, proszę cię.

Alfred zastanowił się chwilę, pomyślał i zawrócił.

—Służę ci.—

—Dziękuję—chodźmy.

Z powagą spokojną, otworzyła Misia drzwi pokoju ojca, który jeszcze chodził żywo mówiąc coś sam do siebie. Widząc ją wchodzącą z Alfredem zastanowił się, ruszył ramionami, namarszczył.

—Spotkałam Alfreda, który mnie żegnał— chce jechać jutro rano— papo— Co to ma znaczyć? spytała

—Nie wiem, odrzekł Hrabia pomieszany, nie rozumiem zupełnie.

—Papo drogi— To nie jest naturalne— wytłómacz mi proszę. Rachowałam wiele na przybycie *tych panów*; a oni nieickają ledwie się pokazawszy. Proszę cię, wytłómacz mi to.—

—Nie mogę przymusić Alfreda— powiedział mi, że jest pełnoletni.

—Ale o cóż to poszło? przerwała Misia niecierpliwie, widzę, że czegoś nie wiem— Jakieś nieporozumienie?

—A! dorzucił Hrabia tupiąc nogą,

nie udawaj wiesz dobrze. Chodzi tu o chłopca, którego chcecie wszyscy napaniać wystrychnąć, żeby nam kiedyś jak Gonta Potockim się wywdzięczył, dodał złośliwie się śmiejąc.

—Prosilem i najmocniój proszę stryjaka, aby mi chłopca tego, jak go nazywa, którego ja moim przyjacielem głoszę— odstąpił— Placę za niego.

—Nie szafuj tak, rzekł Hrabia— nie masz czém.

—Zdaje mi się, że na to wystarczy?—

—Na to? zapewne, ale jeśli tak Don Kuichotować zechcesz, nie długo to potrwa.—

—Przygotowany jestem na to.—

—Bardzo szczęśliwie! Winszując.—

—Papo kochany, spytała Misia— Co myślisz z Ostapkiem, Mama poleciła go mi umierać, jestem jego protektorką— Mnie to więc najbardziej interesuje— Chcę wiedzieć, co z nim robisz.

—Ja ci powiem, rzekł Alfred— Rządca przysłał dyspozycją mu przyniósł, aby jutro rano odjeżdżał na żydowskiej furmance do Białej góry, gdzie ma Mosszka cyrulika zastąpić, z pensją stu złotych i mieszkaniem w chacie chłopskiej.

—Zkąd wyszedł wraca—dodał Hrabia.

—Ciekawabyś, zawołała Misia, czy on winien, że wyszedł ze swego stanu?— Myśnij temu winni, mamy więc obowiązek.—

—Zwrócić go we właściwą sferę— rzekł ojciec. Proszę cię droga Misiu, nie męczaj się do moich rozporządzeń i nie ucz mnie, co mam czytać.

—To ostateczne słowo twoje? papo— spytała śmiało Michalina.

—Zdaje mi się, że na ten raz — ostatecznie.

—Ja z Eustachym jadę do Białej góry— poparł Alfred, uczyłem się także

Medycyny, będziemy oba przy łazarecie.—

—Waćpan uczyłeś się Medycyny—zakrzyczał głosem zmienionym Hrabia—
Waćpan uczyłeś się Medycyny! Ty! To być nie może! powtarzał coraz bardziej błędniejąc i mieniąc się—Medycyny. Ty Hrabio! którego przodkowie.—

—Uczyli się zadawać rany, ja leczyć—rzekł zimno Alfred.

—Alfredzie! to być nie może! rzekł przyskakując bliżej.—

—Tak jest, stryju, uczyłem się i więcej czegoś, jestem jeszcze rymarzem.—

Hrabia najzupełniej osłupiał, Misia pomimo niespokojności jaką ją nabawiała ta scena, na widok przestraszonego ojca, śmiechu ukryć nie potrafiła.

Zmiecione rysy twarzy, przeciągnięta twarz Hrabiego, świadczyły, jak boleśnie dotknęło go wyznanie Alfreda.

—Na imię nam wspólne zaklinam

cię—zawołał, na wszystko wielkie, szlachetne i święte—zaklinam cię, nie mów tego, nie powtarzaj nikomu—To szaleństwo!—

Alfred milczał; dziwna myśl mu nadbiegła nagle.

—Jeśli Hrabia uwolnisz Ostapa—milczę, rzekl. Stryj rzucił się w krzesło, otarł pot z czoła, milczał.

—Nie tajno ci, odczwał się po chwili—że umierającemu bratu dałem słowo, opiekować się tobą, strzedz ciebie i starać się ostatniego po mieczu z naszego rodu wywieść do dawnéj świetności i znaczenia naszéj familij. Nie także miałem myśl, — sądziłem— że może— że jeśli— (Począł się jękać) Michalina przerwała.

—Żeś mnie Alfredowi przeznaczał.

—Nie przeznaczałem, ale myślałem — spodziewałem się.—

—Nie umiem wyrazić mojej wdzięcz-

ności— przerwał Alfred, ale takie szczęście radbym u Michalinki naprzód wyjednać dla siebie— U niej o nią starać się chciałbym, nie inaczej.

Misia podziękowała mu wzrokiem— Hrabia ciągnął dalej.

—Po takim wyznaniu; myśl moja całkowicie upada— związek stajesię niepodobieństwem— Nadto daleko rozeszły się nasze sposoby pojmowania przeszłości, ludzi, rzeczy, nadto po swojemu widzisz świat— Nie myślmy więc o tém więcej. Uwalniam twego przyjaciela cyrulika i zostawiam ci wolność zajęcia się medycyną i rymarstwem, ale od téj chwili, związki między nami ustają na zawsze.—

Alfred zimno się skłonił; Misia milczała; Hrabia wysapać się jeszcze nie mógł.

—Godzę się na twoje warunki, stryju i poddaję im, byłbym miał zupeł-

ne, prawne i formalne ustąpienie człowieka tego, jeśli człowieka ustępować i предаwać można! Co się tyczy projektów dawnych, o tych ziszczeniu Misia zdaje mi się najlepiej sądzić ma prawo.

—Misia nie ma najmniejszego prawa— zawołał Hrabia.—

—Sądzisz papo tak?

—Proszę cię Misiu.—

—Oznajmuję papie, że jutro wyjeżdżam do ciotki, tam przynajmniej będę miała prawo widywać kogo mi się podoba— Dobranoc papie i żegnam go.

Nie czekając odpowiedzi, żywo podała Alfredowi rękę, zawróciła się i wyszła— on uklonił się zdaleka stryjowi i zniknął.

Było już blisko północy;— stary zagrożony w dumaniu, siedział jeszcze za stołem zamyślony i nie kładł się; co się w nim działo, odmalować nie potrafim—

Co chwila wyrywały mu się z ust wyrazy—Medyk! rymarz! *c'est distingué!* *c'est joli ça!* A! rymarz! *parfait!* Ale on chyba kłamie! ou kłamie.

Alfred tymczasem wpadł do swego mieszkania pędem i kazał pakować.

—Jesteś wolny, rzekł do Enstache-go, jedziemy nie czekając dnia.

—Ja nie mogę jechać.—

—Mam słowo stryja—jesteś wolny—musisz jechać ze mną.

—Mówilem ci Alfredzie.—

—Nic nie słucham—wszystko to co powiedzieć, co pomyśleć możesz, na później, teraz jedziemy razem do Skąły.

—Ale ja—przerwał jeszcze raz Eustachy.

—Na wszystko cię zaklinam—musisz—jedziesz!

Wydane rozkazy z szybkością wykonane zostały, kocz w chwili upakowany, zaprzężony i xieżyć jeszcze się nie spu-

ścił ku zachodowi, gdy Alfred usadziwszy przy sobie prawie gwałtem Eustachego, wyjechał.

Misia z równą niecierpliwością polecila swoim ludziom, gotować się do drogi, postanowiwszy odjechać do ciotki.—Majątki Hrabiego, Alfreda i Pani Krystyny leżały razem, sąsiadując z sobą. Składały one niegdyś jedną wielką całość, rozbite na trzy części teraz, zajmowały kawał kraju dość znaczny, największą częścią należąc do Hrabiego, w najmniejszej do Alfreda, który miał tylko Skalę z kilką folwarkami przyległemi.—Ciotka Michaliny, a siostra Hrabiego, niegdyś kobieta wielkiej piękności, sławna na Wołyniu z dowcipu, wdzięków i gościnności, owdowiała od lat wielu, sama z córką wdową także, zamieszkiwała w Surowie.

Musiemy tu choć w kilku słowach odmalować ją, gdyż wpływ Pani Krysty-

ny, na Misię, był wielki, i rzec można, ona ją uczyniła czém była. Zadziwiającej piękności, bogata, spędziwszy część życia we Francji, część jego w kraju, gdzie przywykła do holdów, uszanowania, uwielbień, siostra Hrabiego nie rozumiała, co to jest stosować się do czyjejś woli, być komuś posłuszną. Jój wyobrażenia o losie, przeznaczeniu i znaczeniu kobiety w towarzystwie były przesadzenie *postępowe*, że użyję tego wyrażenia. Naczytawszy się książek XVIII wieku i nowszych, w całym życiu posłuszna tylko własnej woli, Pani Krystyna utrzymywała, że kobieta ma prawo do wszystkiego do czego prawo ma człowiek. Nie rachując ani sił, ani sposobień właściwych kobiecie, mówiła ciągle o zrównaniu jój w prawach z mężczyzną, o upokarzającej podległości, jaką prawa pisane przez wąsatą polowę rodzaju ludzkiego, na nią kładły.—

Takimi zdaniami napoiła córkę naprzód, Michalinę potem, którą łatwo ośwładła. Zestarzała nie zmieniła się wcale i pozostała wierna wyrobionemu przekonaniu. Stan jej wdowi zostawując panią swęj woli, przyczynił się zapewne, do utrzymania w niemi.

Dom pani Krystyny, zawsze po staremu otwarty dla gości; ona i córka wdowa także, ale bezdzietna, gospodarowały w nim same. Córka jednego sposobu myślenia z matką różniła się przecie od niej, tém, że pierwsza była tylko co nazywano *esprit fort*, druga zupełną *Lwicą*.— Musiemy dodać, że życie obu pań, pomimo ich zasad, nie miało na sobie najmniejszej plamki; a najzjadlejsi nieprzyjaciele próżno szukali, czémby je oczernić mogli. Hrabia jak się łatwo domyśleć, nie lubił siostry, ale słaby zawsze, nie potrafił zapobiedz wpływowi jej na córkę, nie miał odwa-

gi zerwać z nią stosunków. Michalina pod przewodnictwem ciotki i pani des Roches, nastrożonej i umieszczonej przez nią— przejęła całkiem sposób myślenia panujący w Surowie.

Surów i Skala sąsiadowały z sobą, jakśmy powiedzieli, o małą tylko milkę, a dwie nie spełnia dzieliły Surów od rezydencji Hrabiego.

Nazajutrz rano, Misia i pani des Roches, siadały do wiedeńskiego *coupé*, i nim Hrabia wstał, były już w Surowie.

Przebudzony, zaledwie miał czas przetrzeć oczy, gdy mu oznajmiono, że Brygadjer z synem odjechali, że córka wyjechała, że Alfred w nocy z Eustachym do domu powrócił.

—Wiém o tém, rzekł zimno służącemu.—

Wstał w najgorszym humorze, gdy Rządca pospieszył oznajmić, że dyspozycja względem Ostapa nie mogła być

spelniona, z powodu jego wyjazdu. Kazał pójść precz panu Rządzczy.

—JW. Graf, każe ścigać?

—Nie mieszaj się Waćpan do tego!

Znowu sam pozostał; a wiedzieć potrzeba, że nie go tak nie dręczyło jak samotność— Czytać nie lubił, interesami z obowiązku tylko się zajmował, towarzystwo było mu nieodbicie potrzebnem; zostawiony sam sobie z niecierpliwości przechodził w rozdrażnienie, kończące się bezsilném ogłupieniem. Cały dzień probował najrozmaitszych zajęć, ale napróżno— nie mu nie szło, a co gorzej, nie go prawdziwie zająć nie potrafiło.

Alfred tegoż dnia pojechał do Surowa— namawiał on, ale napróżno Eustachego, aby z nim jechał.

Pierwszém pytaniem Misi, zaledwie postrzegła brata.

—A Eustachy?

—Niechciał jechać!

Pani Krystyna przyjęła Alfreda najczuléj; zarzucono go tysiącem pytań, nie dano mu odetchnąć. Musiał im opowiadać swoje podróże, przygody i opisywać Eustachego, którego byli ciekawi. Jak każda rzecz niezwyčajna, los sieroty zajmował wszystkich.—Pani Krystyna w imieswych zasad, brała go w protekcję, Misia zaś tak gorąco, tak żywo mówiła o nim, tak nieustannie naprowadzała rozmowę na ten przedmiot, że w końcu Alfred piérwszy poczał z tego żartować.

Michalina zarumienila się i zmięszala.

—A! a! zawolała starsza gospodyni domu—polegając odśmiéchu—a!—mój brat! mój brat skonalby, zdrętwiał—rozum postradał, gdyby mu to na myśl przyjsć mogło. Wystawcie sobie, — *Mais c'est une enormité!* Obrócono w śmiech przypuszczenie. Michalina jednak naj-

mniej się z tego śmiała. Alfred przywykły do badania ludzi, postrzegł łatwo, że olbrzymia hipoteza bliższą była może prawdy, niż się wszystkim zdawało.

W istocie Michalina czuła już ten dziwny, niewytłómaczony pociąg, ku jedyniej istocie wyróżniającą się swym położeniem z tłumu, pociąg, co często niedostrzeżonym rodzi się sposobem.— Naprzód litość, potem ciekawość, wreszcie może i duch przeciwieństwa, zbliżały ją ku pierwszemu człowiekowi, który jak mówiła, *ne ressemblait pas à tout le monde*.

Nasze cywilizowane towarzystwo, tak jednostajnie gładkie, tak jednakowo nudne, tak unundurowane podobnie cieleśnie i umysłowo, musi nie raz budzić chętkę nowości i spowodować, że jej dajemy pierwszeństwo. Misia padła ofiarą znudzenia, jakiego doznawała w naj-

lepszém wprawdzie społeczeństwie, ale nieskończenie jednostajném.

Są którym ten stan dogadza i podoba się, ale żywszy umysł przestać na tém nie może. On szuka i goni za sprzecznościami, za indywidualnościami, często — kroć nie najpiękniejsze nawet, byle wybitne wybierając. — Może i wspomnienia dzieciństwa, kiedy małemu chłopięciu kazano bawić panienkę — kiedy byli razem, często, długo — przyczyniały się do wzbudzenia uczucia, w którego rozbiór, wchodzić — nie pora.

Hrabia wytrzymał w osamotnieniu tydzień, spodziewał się córki co chwila; przysyłano tylko po coraz więcej rzeczy, ale Misia ani pisała, ani obiecywała powrótn. — Zmęczony wręście i przywiedziony do rozpaczey prawie, puścił się do Surowa z gniewem.

W Surowie nie zastał tego dnia nikogo, wszyscy byli zaproszeni na podwie-

czorek do Skaly. Z początku chciał i on tam jechać, ale rozmyśliwszy się, że zastanie Eustachego, kazał zawrócić—do domu.

Eustachy był tam jeszcze;— ale był już na wyjeździe. Głęboki jego smutek, zamilowanie samotności, unikanie od towarzystwa, w którym się zawsze widział intrusem zawadzającym, rozwiązały się wreszcie gwałtownym przedsięwzięciem. Postanowił wyjechać do Warszawy; skryć się i zniknąć. Kto wie? może nadzieja pozyskania sławy, wzniesienia się kiedyś;— pędziła go także, choć się do tego nie przyznawał. Alfred, którego baczne oko dostrzegło zbyt częstego zajęcia Michaliny przybyszem, nie sprzeciwiał się temu, owszem pochwalał myśl wyjazdu.—

Misia nie wiedziała o postanowieniu— O ile Eustachy z uszanowaniem i cziąg, unikał jęj przecie, o tyle ona go szukała.

Zmusić go prawie trzeba było, aby się pokazał w Surowie; a podwieczorek w Skale doradziła Michalina.

Pani Krystyna poczyniała się zamyślać, widząc to nietajone, dziwne popędliwe, namiętne prawie zbliżenie się krewniej tak blizkiej do człowieka, który na szczeblu klasyfikacji towarzyskiej stał tak od niej daleko.—I ona mówiła Alfredowi na ucho—Niechaj jedzie.

Wieczorem był ów podwieczorek w Skale, nad brzegiem rzeki, w cieniu starych dębów zastawiony—Ostap musiał się tam znajdować—Michalina wyciągnęła go na rozmowę i nie zważając na przytomność kilku obcych osób, pozostała z nim na ławce, nie puszczając od siebie, ile razy chciał odejść.

Polożenie Eustachego było dręczące.—

Młody, z całą żywością niespotrzebowanych i nierozwiniętych uczuć, wystawiony na blask oczu, na uroczne uśmie-

chy i tęskne słowa kobiety, która widocznie mu okazywała, że jej nie był obojętnym; w uczuciu obowiązku, w pojęciu swego położenia, szukać musiał broni przeciw rodzącej się namiętności.— Gdy się mieli rozjeżdżać— pożegnał Michalinę,— która nic o zamiarze wyjazdu nie wiedziała jeszcze.

—Pozwól pani, rzekł, pożegnać się na długo, może na zawsze.

—Pan odjeżdżasz.—

—Muszę—jadę.—

—Dokąd?

—Sam nie wiem, w świat, gdzie oczy poniosą, pozostać tu nie mogę.

—Ja nie widzę przyczyny! zawołała Misia.

—Alfred sam radzi mi wyjazd, ja widzę jego potrzebę, a jakkolwiek boleśnie rozstać mi się z temi, którym winienem wszystko, których skrzydła anielskie osłaniały mnie dotąd— muszę i w po-

trzebie kroku tego, czerpię siły do spełnienia go.— Przyjm więc pani pożegnanie od tego, który za nią, za ojca jój, gotów jest krew swoją przelać, oddać życie.

—Michalina spuściła głowę, zamilkła.—

—Jedziesz pan, odezwała się po chwili— nie umiem mu odradzać, choć nie rozumiem naglących do tego przyczyn— jedź więc, ale nie zapominaj o nas.—

—Nigdy! zawołał z zapalem młodzieńczym Ostap podnosząc ręce. O! nigdy! A jeśli w jakimkolwiek razie, potrzebne będzie życie moje, zawołacie— przybędę i oddam je z rokoszą.

Dwielzy zakręciły się w oczach Misi.—

Zaczęto się żegnać i wyjeżdżać—Alfred z Eustachym przeprowadzali aż pod Sułów, gości. Nazajutrz rano pocztowe konie w prostym wozku, uniosły z tu-

manami pyłu, Doktora Eustachego ku Warszawie.

Nie pójdziemy tam za nim; pozostać musimy w Surowie i Skale.

Hrabia coraz bardziej udręczony samotnością, pisał do córki, która mu odpowiedziała, że chce jeszcze pozostać przy ciotce. Dwojako dręczył go pobyt ten w Surowie—raz, że został osamotniony, bo zwyczajni goście, pretendenci do ręki Michaliny, przenieśli się do domu ciotki, powtóre, że bliskość Skaly, codzienne odwiedziny Alfreda, niepokojnym go czyniły. Od czasu zaś jak synowiec wyznał mu, że się uczył medycyny i rymarstwa, Hrabia nie mógł nawet przypuścić, aby jego córka była żoną człowieka, co splamiał się rzemiosłem!

Michalina smutna, spoważniała, zadumana, od wyjazdu Eustachego oddala się malarstwu, które była jakiś czas

zarzuciła; szukając w niém teraz rozrywki.

Alfred zajął się czynnie gospodarstwem — interessami i z wielką zgrozą Hrabiego, poczał włościan swoich leczyć, a nawet niektórym krew puszczał! Stryj wzdrygał się i przysięgał, że nie tylko zięciem go mieć niechce, ale się wyprze jako synowca. Zrozumiawszy i obowiązki pana i obowiązki człowieka, to jest stosunek do siebie i do ludzi — Alfred nie w próżnowaniu i zabawkach, ale w pracy poczał nowe życie. Przejażdżki do domu pani Krystyny i kilku sąsiedzkich, stanowiły całą jego rozrywkę; resztę czasu poświęcał czytaniu, rządowi majątku i chorym swoim.

Stryj pojąć nie mógł, jak towarzystwo, nie odepchnęło od siebie człowieka, co się skalał lancetem, co przyznawał się do rymarstwa publicznie (pomimo danego przyrzeczenia Hrabiemu, gdyż

Misia pierwsza wydała tajemnicę, a potem już nie było co się ukrywać) — jak mogli u niego bywać, żyć z nim ludzie *dobrego rodu*. Przecież! z niewymówném zmartwieniem Hrabiego, wszyscy bywali w Skale i Alfreda przyjmowano wszędzie najuprzejmiej.

Pół roku upłynęło bez żadnej zmiany, Michalina zawsze była u ciotki. Hrabia coraz częściej szukał za domem towarzystwa, którego napróżno u siebie wyglądał. Alfred urządziwszy sobie, jak powiadał życie, nie zmieniał go. — Co uspokajało trochę naszego pana, to że między synowcem a córką, nie dostrzegano (o co się pilno dowiadywał) żadnego wzrostu poufaleści, ani ścislejszych stosunków.

VII.

CHLÓDNY wiatr jesienny z dészczem krostlistym szaleje po obnażonych, żółtych i czarniejących polach; chwytła dymy z wiejskich polatujące kominów i rozbija w powietrzu. Ostatki liścia sypią się z drzew ponachylanych do ziemi; chmury szare, poszarpane, postrzępione, suną się od północy na południe. Na dworze ciemnieje. Pustką stoi droga przechodząca wieś Hrabiego, żywój na niej niema duszy, kilka psów wyje na progach domostw, z których komina nie podnosi się dym, okna wybite i wrota obalone.

W końcu wsi, dwóch ludzi zajęci robotą, mimo spóźnionej pory.

Na rozmokłej od deszczu ziemi, leży z cieńkiego dębezaka wyrobiony krzyż niski, zaledwie z gruba wyciosany. Obok wykopana jama i odrzucona ziemia.

—Chmurzy się i ciemni, szepnął Fedko wzdychając, nie damy dzisiaj rady, odłożmy do jutra.

—Oj! niebracie, kiedy robić to dziś, kiedy to panu Bogu miło, stawmyż co prędzej—niechaj nas poratuje!

Fedko spójrział w niebo i westchnął.

—Czas bo dobrze, żeby nas Bóg poratował!

—A dobrodziej mówi, że we wszystkich wsiach, gdzie krzyże postawili, pomogło!

—No, znieśmy!

I pochwycili przygotowane drzewo, zapuszczając je powoli w jamę.

—Niech-że będzie Bogu na chwałę,

a nam na ratunek! To mówiąc poczęli obsypywać krzyż i ubijać ziemię.

—Wiele dusz dziś umarło? spytał Janko.—

—Nie wiem, wczoraj dziesięciu wynieśli na mogilki—dziś powiadają więcej!

—Codzień więcej.

—We dworze już poczęli mrzecz.—

Nasz pan miał wyjeżdżać do miasta— Jakby w mieście skryć się było można, przed mocą Bożą!

—Wyjechał-że?

—Podobno nie jeszcze— Ale ludziom zakazano chodzić na wieś, a nawet do oficyn, gdzie żona Kommissarska umarła.

Skończywszy obsypywać krzyż i pomodliwszy się poszli powoli wsią ku chatcie. Fedko zadumany, Janko we łzach.

—Niema po co do chaty— rzekł zbliżając się— Stara— na mogilkach, twoja z dzieckiem także, Zoja lada godzina

pójdzie za niemi— a i nas też samo czeka. Darmośmy zaorali i zasiałi.— kto inny zbierać będzie.

Minęli jedną i drugą chatę całkiem pustą i weszli na swoje podwórko— Oba rzucili oczyma smutnemi do koła— nikogo. W chacie cisza i jęk tylko stłumiony dobywał się z świetlicy.

—Jeszcze żyje! rzekł Janko.—

—Wody! wody! dal się słyszeć głos z izby.—

—Chodźmy!— żywo zawolał Fedko—
 lżej jej będzie umierać przy nas, nie samą, opuszczoną. To mówiąc weszli na próg— W pośrodku na wilgotnym toku, i cieńkim sienniku leżała skurczona, okryta dziurawą siermiężką Zoja— Trudno było ją poznać, tak straszliwie twarz rumianą i życia pełną wykrzywiła, spoczwarzyła słabość.— Zgasłe oczy świeciły jeszcze w sinych i opadłych policzkach, ścisnięte konwulsyjnie ręce

trzymały siermiężkę pod szyją, usta otwarte zdawały się szukać powietrza, wzrok obłąkany chodził kołem po izbie. Niekiedy z cicha odzywała się.—

—Wody! wody! zimno! To znowu— pali mnie— i znowu— zimno! Matuniu okryj! A! zanieście gdzie mnie w ciepło!— Nie ma nikogo— wszyscy umarli.—Jezu Chrystusie, zmiłuj się nade mną.

Bracia stanęli i popatrzali na nią płacząc.

—Gdyby jój co ciepłego! rzekł Jan-ko— mówią ludzie, że to pomaga.

—A żkąd ognia.—

—Będę miał siłę rozkrzesać i rozpalić!

—Ale z czego? drew nie ma!

—Prawda, ale ploty są.—

I wyszedł, a wkrótce zatrzeszczał częstokół przed chatą i Jan-ko powrócił z oberemkiem na ramionach. Wniósłszy je jednak, usiadł, zrobiło mu się słabo, oczy zaszły mgłą, zatrzęsł.

—Wiesz Fedko, rzekł—mnie coś źle.—

—I tobie?

—A! zimno! odparł Iwan—we środ-
ku zimno— Jakby wiatr chodził po
mnie— i palce pokośniały. Ale taki o-
gnia rozpale, bo Zoi trzeba czegoś cie-
plego— Ona dawno słaba, może pozdro-
wieje.— Zwlókl się więc i na siłę dobył
ognia, począł go rozdmuchiwać, ale
przemokły od deszczu kawał płota, nie
zapalał się. Trzeba było porąbać ławę
suchą, aż od niej dopiero ogień się za-
jął i buchnął żółtym płomieniem.— Cho-
ra zwróciła oczy na ognisko i niespuści-
ła ich z niego— Janko nastawił garnek
wody, a Fedko usiadł przeciw siostry
sparlszy się na rękę— plakał.

Kilka głosów dały się słyszeć w uli-
cy— Spójrzeli wązkim okienkiem. Para
wołów ciągnęła wóz— na nim kołysały
się trzy razem postawione z lichych de-
sek zbite trumny— Stary dziad poganiał,

dziecię nagie do połowy, bose, płaczące, czepiało się kół i boleśnie lkało.

—To już reszta z tamtęj chaty! zawołał Fedko.

—Troje!

—Troje! Tylko Roman jeszcze żywiwoły pogania, a wnucze bieży za nim.—

Gdy to mówi Fedko, zastanowił się wóz nagle i krzyk dał się słyszeć przerażający— Zaraz po nim płacz bolesny dziecka.

—A to co, spytał Jauko, który od ognia nie odstępował.

—Co? stary Roman w ulicy padł i leży— dziecko nad nim, a woły z trumnami stanęły. Porzucim-że tak starego Romana?

—A cóż zrobim z nim?

—Jest u nas miejsca aż nadto, rzekł Fedko znieśmy go tu— ja odwiozę umarłych i pochowam.—

Nic nie odpowiedział Jauko, tylko

wstrząsając się od zimna wstał i zbliżył się do drzwi.

W tém Zoja, poczęła wolać.—

—Nie porzucajcie mnie— nie opuszczajcie!

—Zaraz powrócim, rzekł Fedko.—

Wyszli w ulicę—przed samemi wroty chaty, stary siwobrody Roman, leżał rozciągniony na ziemi, siny i ledwie żyw; na jego piersi ostyglój wnucze ostatnie, objąwszy szyję rękami, wołając rzewnie dziadu, i płacząc, leżało. Dwa czarne woły, z spuszczonei głowy rozparte stały nad nim—Kudlaty pies schudzony, wyl pod wozem.

Sami osłabieni chorobą, pracą i niedostatkiem, Fedko z Iwanem ledwie udzwignąć potrafili starca, i spoczywając wnieśli go przecie do świetlicy, położyli na pustym łóżku, okryli.

Fedko wziął rydla—pilnuj-że chorych rzekł, a ja pójdę grzebać umar-

łych, dziecię siadło przy łóżku bezprzytomnego starca i rozpadalo się z płaczu. Janko grzał się przed ogniem i wodę gotował.

—Wody! wody! wołała Zoja.—

—Wody! kożucha! stękał starzec.

—Matko—ojcze—plakało dziecko.—

Wicher wyl na podwórzu, i dėszez przebijający zgnily dach, ściekał po ścianach chaty.

Ledwie sam trzymając się na nogach, Janko napoil naprzód siostrę, potem starego, pookrywał, dał dziecku ostattek chleba, bo więcéj go upiec komu nie było, rozniecił większego ognia i skuliwszy się w kącie, chorobliwie, drzemać poczał. Siły go powoli opuszczały, uchodziły, sen napadał i dreszcz.—

Dzwon cerkiewny, dawał się powoli słyszeć wśród wiatru, chwilami dźwięczał to znów ustawał, głosy przerywane, przest్రachu, boleści, dochodziły

uszków; wichler się wzmagal. Janko kilka razy otworzył oczy i zamknął je znowu, czuł, że nowe jakieś grozi niebezpieczeństwo; ale powstać, ratować się nie było siły— Opadał na przyzbę, tulil się, drżał, kurczył.

Na dworze ciemniało coraz, chmury naciągały czarne, wiatr się rwał do strzech, które obnażał i drzew łamiących się, powyginanych, rozdartych.— W drugim końcu wsi świeciła luna pożaru— i rozszerzała coraz bardziej. Z dachu na dach, przelatywało płomień wzmagając się, wiatr poddymał.— Nikogo przy ogniu.

Ze dworu nikt wybiedz nie śmiał na wieś, na wsi nie było komu ratować— puste już chaty po cholercze, żarł rozniecony pożar. Kilka tylko cieniów czarnych, ruszało się koło ognia, byli to chorzy, co się grzać biegli, przejęci drószczami poprzedzającymi zwykłe roz-

winienie się słabości. Dzwon poruszony bezsilną ręką słabo się odzywał. W tém zadzwoniło na trakcie;— bryczka zaprzężona trzema końmi, wstrzymała się naprzeciw pożaru. Siłą głos podróznego zabrzmiał nad uszami nieprzytomnych ludzi, co się przy płonących węglach rozgrzewali— Słusznego wzrostu, silnej budowy mężczyzna, począł drapać się na dach najbliższy jeszcze niespalony i snopki pokrywającego odrzucać. Za jego przykładem poszedł woźnica i kilku ludzi nadbiegłych. Dym czarny i gęsty ustawiał; deszcz ulewny pomógł do ugaszenia ognia; który się ograniczył tém, co już zniszczone było.

Rzucając na dachu ludzi, przybyły Ostap, pędem pobiegł ku chacie, gdzie Janko, Zoja i Roman stękali nieprzytomui i pomocy Bożej, nie rachując już na ludzką, wzywali.

Wbiegł, spójrział, załamał ręce— a

dostrzegłszy przy ogniu dogasającym uśpionego Janka wstrząsnął nim.

—Gdzie brat, gdzie żona—gdzie Kulina? zawołał.

Janko wytrzeszczył oczy, otworzył usta, ale odpowiedzieć nie mógł—Nanieciwszy ognia większego, zrzucił płaszcz i z westchnieniem począł Ostap zajmować się choremi. Wszystko potrzeba było robić samemu, podnosić ich, opatrywać, okrywać i poić. Przygotowane lekarstwo, które miał przy sobie, spłynęło z kolei w usta Zoi, Romana i Janka. Zrobiwszy co mógł, siadł podparł się i znużony, pozostał jak przykutym do miejsca; niekiedy jękiem, westchnieniem chorych, zbudzony tylko z odrętwienia.

—To nie wszystko, rzekł w duchu—Powstał i zabierał się do wyjścia. W tém wszedł Fedko z rydłem w rękę—Bracia uściskali się w milczeniu.

—Babka? spytał Ostap.

—Umarła.—

—Żona twoja?

—Umarła.—

—Dziecko?

—Umarło.

—Co się dzieje we dworze?

—Wracając ze smętarza spotkałem ludzi dworskich jadących po doktora. Pan zachorował.

—W sam czas przybyłem, zawołał Ostap— Nie ma chwili do stracenia.—

I ruszył się ku drzwiom spiesząc.—

—Dokład bracie?

—Do Dworu.

—A ty tam po co?

—Ratować go.—

—Kogo? spytał gorzko Fedko— pana? pana, co nas ciemniżył? co nam dał wymrzeć w pół z głodu, w pół z choroby? Jego?—

—Jego— rzekł Ostap— Bóg każe do-

brém za złe placić — czynimy jak każe.
Nie do nas należy go sądzić. —

Wielkiemi zdumionemi oczyma, spój-
rzał Fedko na brata, wzruszył ramio-
nami i siadł na ławie. Ostap wyszedł i
szybkim krokiem pobiegł do palacu.
Dziedziniec był dziwnie pusty, nikogo
w przedpokoju. — Stary kamerdyner sie-
dział w sali, na krześle i płakał.

— Hrabia słaby? spytał wpadając Ostap.

— Od kilku godzin. —

— Nikogo przy nim?

— Dotąd nikogo prócz nas. — Posła-
liśmy uwiadomić Pana Alfreda.

— Prowadź mnie do niego — wiesz że
doktor nie ma chwili do stracenia.

Posłuszny stary, zwałókl się z krzesła
i otwierając drzwi przybytemu, przepro-
wadził go przez szereg pustych pokoi —
do sypialni pańskiej. Na łożu mahonio-
wém; stękał chorobą złamany stary.
zsiniały już, zziębły, bezprzytomny. —

Na widok Eustachego, zmieniła się twarz, zadrżała ręka, którą usunął, usta poruszyły jakby coś chciał mówić. Szybko przygotowano gorącą wannę— a mimo wstrętu i oporu, Eustachy potrafił mu dać lekarstwo.

—O! gdyby wiedział, rzekł w sobie Eustachy, że te same krople dawaliśmy bratu i siostrze, wołałby może śmierć nad nie!

I bolesny uśmiech przeleciał mu po ustach. Godzina nie upłynęła, a już z pociechą i dumą, widoczny był skutek starań lekarza. Hrabia spał głęboko i potniał.—

Ostap w oddaleniu czuwał; napróżno stary sługa ze łzami w oczach, wzruszony, wdzięcznością przejęty, chciał go namówić do spoczynku, pozostał zdaleka, śledząc postęp lekarstwa i przemagającą jego siłę.

Po północy dwa powozy zaturkotały

przed gankiem. Alfred przybywał ze Skąły spiesząc na ratunek stryjowi, Michalina pomimo prośb i odradzań ciotki, biegła do łóża ojca. Spotkali się milczący i powitali spójrzeniem w sali, oboje razem biegli do pokoju Hrabiego. Nie było czasu, i nie było komu oznajmić im, że Ostap wszystkich uprzedził. Z wielkiem zdumieniem, postrzegli go uśpionego w krześle, u łóżka Hrabiego. Michalina cofnęła się, zarumieniła i zbliżyła do ojca. On spał, ale snem spokojnym już przesiloućj słabości. Na szelst wchodzących zbudził się Ostap, i pochwycił; postrzegł stojącą nad ojcem Misię i pośpieszył ją uspokoić.

—Hrabia wyzdrowieje, ręczyć za to mogę— rzekł cicho, zostawmy go w spokojności—Szczęśliwy jestem, że w czas przybyć mogłem, aby go uratować.

Alfred i Michalina scisnęli go za ręce.

—Nie wiem jakie przeczucie mówiło

mi—szepnął Alfred, że ty tu być musisz; tłómaczyłem sobie napróżno, że to być nie może—Serce mi mówiło—być musi.

—A teraz, rzekł Eustachy, zostawiam was przy nim, mnie czas do moich chorých! do tych którychem jeszcze żywych zastał; bo wielu, wielu umarło!

Nikt go wstrzymywać nie myślał, tak wszyscy zajęci byli rozpytywaniem o słabości Hrabiego, wyniknął się więc niepostrzeżony i zbiegł na wieś znowu. Dzień już był bliski;—wicher ustał, pożar zagaśł i ranna gwiazda błyskała na bladém tle jesienném niebios.—Dym ciemny, ze szczątków pożaru unosił się w górę i daleko rozciągał po wilgotnej ziemi.

W chacie, jedni spali snem spoczynku, drudzy snem wiecznym. Stary Roman nie żył; wnucze jego przejąwszy słabość od dziada, dogorywało w strasz-

nych męczarniach, Zoja i Janko mieli się lepiej. Fedko czuwał nad nimi. Na twarděj ławie, podesławszy płaszczyk położył się Ostap i usnął na chwilę, trzecią to już noc nie zmrużył oka.





VIII.

WE DWA dni po opisanych wypadkach, Hrabia odzyskał przytomność zupełną. Alfred i Misia nie odstępowali od jego łóżka—obaczył ich i wyciągnął rękę, jakby się z długiego snu budził, z długiej powracał podróży.

—Winienem ci życie, rzekł do Alfreda.—

—Stryju kochany, nie mnie je winienś, innemu.—

Znak Misi, która lękała się, żeby imie nienawistnego człowieka, nie wzruszyło ojca zbyt znacznie, przerwało Alfredowi.

—Któż tu był? spytał Hrabia.—

—Lekarz— odpowiedziała Misia.—

—I tyś mi przecie powróciła! z wymówką zawołał stary— gdybym nie zachorował, nie byłabyś sobie przypominała.—

—Papo, kochany papo, winnam, nie wymawiaj mi— zostaw to na później, gdy będziesz zdrowszym.

Lękając się znużenia, nie dano długo mówić Hrabiemu.— Szybko przychodzić zaczął do zdrowia, silny w sobie, nie wycieńczony ani myślami, (których nie nadużył) ani żadnym zhytkiem, prędzej niż drudzy odzyskiwał dawne siły.— Ostap nie pokazał się więcej we dworze, u łóżka chorego, ale codziennie wzywany przez Michalinę, z nią i Alfredem, spędzał część wieczora.

Choroba straszliwa dziesiątkująca w okolicach niektórych wsi i największe osady, powoli ustawać poczyniała; licz-

ba chorych, i umierających zmniejszała się; a pobożny lud przypisywał cudowny skutek wystawionym na drogach krzyżom.—

Alfred przenikliwie poglądając na Eustachego i siostrę, lękał się nowego ich zbliżenia; Misia codziennie mniej ukrywała namiętne przywiązanie, utaić się już niczym oczom nie mogąc, dla człowieka, który z uszanowaniem, bojaźnią, smutkiem zbliżał się do niej. Zdaje się, że udana czy prawdziwa obojętność Eustachego, jątrzyła jeszcze Misie. Nie tając się przed Alfredem, okazywała jawnie, przerażająco— że go kochała.— Często odchodziła wieczorem we łzach cała, bo on jej rozumieć nie chciał. Napróżno pani des Roches przełknięta jak Alfred postępcem przywiązania tak dziwnego, bez przyszłości i nadziei, starała się wszelkimi sposobami, sprzeciwiać się, przeszkadzać schadz-

kóm wieczornym.— Misia samowolna, rozkazująca, niepokouana, zawsze potrafiła postawić na swoim.—

Jednego wieczora, zostawszy sama z Alfredem, tak niespokojnie cbodzić poczęła od okna do drzwi, zaglądać, podsłuchiwać obiceanego przybycia— i utyskiwać głośno; że brat nareście, postanowił nietając dłużej podchwycobój tajemnicy, oświecić ją o przyszłości.—

—Kochana Misiu, rzekł, możesz mi wierzyć, że kocham Eustachego, jednakże jakkolwiek wiele mu winni jesteśmy, jakkolwiek go szacuję i przywiązany jestem do niego— twój niepokój o niego, twoja wdzięczność przechodzą może granice.—

—Granice czego? spytała Misia urażona—

—Na Boga, nie gniewaj się siostrzyczko! mnie się zdaje— ja się może mylę.—

—Powiedz-że całą, całą myśl twoją, Alfredzie.

—Ty go kochasz chyba! zawołał nie wiedząc jak inaczej to wyrazić.—

Michalina stanęła, spójrzała, podala mu rękę i spytała cicho.

—Bracie— a gdyby tak było?

—Gdyby tak było, Misiu— znaczy— że tak jest! Nieszczęśliwa jesteś i boleję nad tobą— Jest to miłość bezjutra i nadziei.

—O! wiem przecie o tém!— odpowiedziała siadając w krzesle i zakrywając oczy— dawno wiem o tém.— Ale możnaż, powiedz mi rozkazać sercu, żeby nie bilo, kiedy się raz poruszy? Wszak-że nie wywoływałam tego przywiązania; opierałam się mu— ale mój los, i kto wie— Bóg zapewne, chciał tego— Stało się— bracie— Możesz się litować nade mną, ale nadto pojmujesz czém jest uczucie, żebyś miał dziwną

myśl zagaszenia tlejącego we mnie. Kocham Alfredzie — kocham go — i powiedz mi, jestże to niczém już nicusprawiedliwioném, tak dziwuém, tak bezprzykładném.

—Twój ojciec.—

—O! wiem o tém, ale po cóż mi go wspominasz. Każdeż przywiązanie ma się koniecznie zamknąć żelazną klódką małżeństwa? moje wiatr rozwieje i godziny długie z sobą gdzieś uniosą— Wiem, że nie mam jutra, dla tego dziś tak mi jest drogie, dla tego tak niespokojnie, wyglądam go, oczekuję, pragnę. Śmieć się ze mnie, jeśli ci się podoba.

—Plakaćbym powinien raczój.—

—Daj mi pokój! Ty zawsze żartujesz! Wiesz moją tajemnicę,— nicch przy tobie zostanie.—

—Twoja tajemnica droga Misiu, nie jest wcale tajemnicą, jak ci się zdaje.—

—Jakto? zrywając się zawołała Michalina on— miałby wiedzieć o tém?

—On — nie wiem, ale wszyscy, co cię otaczają, szemrzą, ciotka, pani des Roches, domyślają się— Zlituj się, staraj nie okazywać po sobie.—

—Alhoż to tak widoczna? naiwnie spytała Michalina.

Alfred ruszył ramionami i nie odpowiedział, ona na chwilkę rozmyśliła się smutnie, potem dumnie podniosła czoło i rzekła.— Niech wiedzą, niech mówią— co mi to szkodzi?

—A jeśli kto usłużny, doniesie twojemu ojcu? wiesz-że ty, możesz-że wyrachować skutki? To śmierć dla niego.—

—Ale to być nie może? któżby śmiał?

—O! rzekł Alfred— nierozumiem jak dotąd ukryć się to przed nim mogło— później.—

—Cóż poradzić? spytała Misia— mów, pomóż mi— ja nie wiem.

—Droga siostrzyczko, z uśmiechem, rzekł Alfred, posłuchaj mnie trochę. Z wszelkiém namiętném przywiązaniem, dwojako człowiek postąpić sobie może—poddąć mu się, lub—walczyć. Dwojaką tę drogę masz przed sobą, a ja, gdybyś mnie posłuchać chciała,—wskazałbym ci walkę. Sama wyznajesz, że miłość twoja, jest bez nadziei, po cóż się jéj poddawać? Niech on odjedzie—ty zapomnisz.—

—Zapomnisz! Łatwa i piękna rada! Widać Alfredzie, żeś nigdy nie kochał!

Na te słowa żywo wymówione, poblekł i ciężko westchnął.

—Misio! jak ty mnie nie znasz?

I spojrzeli na siebie może raz pierwszy oko w oko, długo, aż się zrozumieli—Alfred z kolei upadł w krzesło i zakrył twarz ręką.

Michalina milczała.

—Bracie, odczuwała się z cicha—ra-

dzisz mi lekarstwo, które jak widać, tobie samemu nie wiele pomogło, ty cierpisz?

—Bom się skazał na ciche milczenie.— Nie mogąc być kochanym, litości nawet nie mogąc wyprosić, waleczę z sobą, cierpię—czekam. Michalina jeszcze udała, że niezrozumiała.—

—Niech jedzie, rzekła—niech jedzie—wszak to chciałeś mi radzić?—Prawda—potrzeba tego, ale dla czegoż nie mam skorzystać z chwil ostatnich, być z nim—Jeszcze godzin kilka, a potem.

Pani des Roches weszła—zamilkli.—

Enstachy smutny i poważny jak zawsze przyszedł w pół godziny potem. Rozmowa wieczorna, w której Alfred poświęcił się na towarzysza francuzce, opowiadając jej szeroko i długo o Paryżu i Francji, cicha, tajemna toczyła się między Misią a Ostapem, nieprze-

rywanie wieczór cały. Gdy wychodzili Alfred pod pozorem pilnój sprawy, wziął przyjaciela pod rękę i uprowadził z sobą do swego mieszkania. Czuł on potrzebę rozmówienia się z nim otwarcie i stanowczo o przyszłości, zamiarach i myślach jego.

Nie wyjawiając przed nim, że widzi coś nadzwyczajnego, grożącego, chciał go pozorem własnego dobra, do odjazdu nakłonić.—

—Hrabia codziennie się ma lepij, rzekł po chwilec, pomimo wdzięczności jaką ci winien, nie wiem czy należy ci wyglądać niejako, aż będzie w stanie ją objawić.—

—Wdzięczności! ale ja nie chcę żadnej; odparł dumnie Ostap.—

—Dłuższy twój pobyt, mógłby tę myśl nastroczyć.—

—Ja wyjeżdżam natychmiast.

—Jeśli niespokojny jesteś o swoich—
jedź do Skąły, ale nie baw tu dłużej.—

Ostatnie słowa Alfred wyrzekł tak skłopotany, niepewnym głosem, bez przekonania, że Ostap zastanowił się i spójrzal mu w oczy. Nawykły do czytania na jego twarzy, poznał, że co innego mówił, a myślał co innego; Alfred odkrył znowu wątpliwość rodzącą się jawnie w rysach twarzy przyjaciela; oba pomieszani, zarumienieni stanęli.

—Gdybym cię mniej znał, rzekł Eustachy—posądziłbym, że całej swęj myśli mi nie odkrywasz.—

—Eustachy! wierzysz w moją przyjaźń!

—O! możesz-że wątpić?

—Uwierz więc, że wszelka moja rada, czy jej powody całkiem, czy na w pół ci tylko odkrywam, pochodzi z przyjaźnój o ciebie troskliwości.

—Wierzę i słucham.— Jedziesz do Skaly? ja z tobą.

—Jutro rano— Hrabia nie potrzebuje już naszój pomocy, twoi krewni?

—Także! odpowiedział Eustachy z westchnieniem.

—Możemy więc jechać.—

—Pojedziemy.

Na tém skończyła się rozmowa.—

Nazajutrz jednak rano nim wyruszyć mogli, Michalina wyszła ich prosić do siebie. Całą noc przebyła ona we łzach, walcząc z sobą, i nie prócz boleści nie-mogąc wywalczyć. Jedno tylko religijne wychowanie, uczące tłumić namiętność wszelką, i bojować z nią w początku samym— może dać siły potrzebne na pokonanie jój.— Misia wcale go nie miała— przywykła czynić tylko swoją wolę, dogadzać wszelkiój przelotnej fantazij, w piérwszych chwilach oddała się uczuciu powstającemu z całą żywo-

ścią swego charakteru. Wszystko spikało się na wzrost téj nieszczęśliwéj miłości. Niepodobieństwo samo, miało pewien pociąg dla takiéj jak ona kobiety; wyjątkowe położenie Enstachego, jego głęboki smutek, prześladowanie, którego krótko wprawdzie, doznał; wzbudziły litość, zajęcie, nareście pociąg i przywiązanie.

Szlachetny charakter i cierpliwe męstwo, uporne wręście milezenie nst, gdy oczy mimowolnie zdradzały, co się w duszy działo; mówiły za nim.— Powolnie rosła i wzmagala się miłość, ale nareście doszła do tego stopnia natężenia, kiedy człowiek przytomność od niéj traci, gorączki dostaje; schnie i umiera.—

Całą noc przeplakała, przedumała Misia. Chciała przed sobą rozjaśnić przyszłość jakąkolwiek nadzieją—napróżno. Zewsząd wznosiły się niepokonane trudności — niepodobieństwa — kłamała

przed sobą i po chwili sama w swe kłamstwo nie wierząc, płakała— Zaczęło świtać i powiedziała sobie— Widziałam go raz ostatni!

Wiecie zapewne co za wrażenie robi na człowieku, ten wyraz— ostatni!— Opisać go niepodobna— głowa pęka, serce się rozdziéra, życie uchodzić się zdaje.—

Szał opanowywa— a wtenczas, kto nie oszalał, ocalał. Wielu jednak szaleje, wielu na resztę żywota, z téj chwili wypija truciznę, od której potem śmierć powolna nadechodzi.— Misia płakała ze dniem wschodzącym, a niemogąc przemódz wrażenia jakie na niéj czyniła myśl— Widziałam go raz ostatni, posłała prosić Alfreda i Eustachego do siebie.

Alfred przyjął tę prośbę z przykrością widoczną, ale odmówić jéj nie śmiał.

Mieli siadać do powozu, milczący zwrócił się ku palacowi.

—Chwilkę tylko zabawim, rzekł wchodząc na ganek — czas nam w drogę.

Eustachy nic nie odpowiedział. Jego twarz zwykle piętno spokojnej rezygnacji nosząca, była blada, a oczy jaśniały gorączkowo, usta miał sine; wyraz fizionomii niezwyčajny. Dostrzegł tego Alfred — wewnętrzna męka jadła go w duszy; i nie wyszła na jaw, aż się wpiła w organa życia, które ją zewnątrz zaświadczyły.—

—Co ci jest? spytał, widząc Eustachego chwytającego się za kolumnę.—

—Nic— tak, znużenie— odpowiedział doktor. Michałina czekała ich w progu swojego pokoju, także do niepoznania zmieniona, blada, pomieszana.—

—Chciałam, odczuwała się — zapomniałam—przepraszam—ale nie spytałam panów, jak mam postępować z przy-

chodzącym do zdrowia ojcem— Dla tego to musiałam prosić jeszcze.—

Pretext był wynaleziony, ale niezręcznie, bo Enstachy zostawił przepis szczegółowy. Nic jednak nie odpowiedział, bo tak był sam pomieszany, że zapominał o tém co zrobił— Michalina spojrzała mu w twarz i zaдрżała widząc jej zmianę.—

—Co to jest? Pan chory? spytała troskliwie.

—Ja? nie— odparł Enstachy dobywając zmuszonego uśmiechu— nigdy się owszem lepiej nie czułem.

Wchodzący służący, wyprosił Alfreda do Hrabiego; zostali sam na sam.

Enstachy tak był nieprzytomny, że nie wiedział co mówić, rzucił oczyma po pokoju, chciał się uśmiechać, udawał wesołego, a padał prawie z bólu.

—Kiedyż się znowu zobaczymy? spytała Michalina cicho.—

—Pani, mógłś wiedzieć— na twój rozkaz jestem zawsze.—

—Jak teraz, przerwała Michalina— ocalileś życie mojemu ojcu— A! nie umiem panu wyrazić jaką w mém sercu zostawiasz pamiątkę, pamiątkę, której nie nie wygładzi, dodała z zapalem— wieczną— a przynajmniej trwałą jak życie.

Enstachy miał lzy w oczach.

—O! mnie to, zawołał, mnie być wdzięcznym mnie czcic was zawsze— mnie, któregoście wyciągnęli z błota, któremuście dali więcej niż życie, bo uczucia i myśli godne człowieka— Nie! Na to nie ma słów w języku— I pochwycił się za serce.

—Ale kiedy, powiedz mi pan, kiedy się zobaczymy znown?

—Moje życie nie pewne jutra, ale wszędzie gdzie będę, modlić się i pamiętać i czcic was nie przestanę. Ty

pani i Alfred jesteście na zawsze w biédném sercu, z którego nie was nie wyruguje; ho któżby więcćj z taką anielską dobrocią, chcial się zbliżyć— do człowieka odepchnionego przez towarzystwo, skazanego na poniżenie.—

—Gorzkie masz pan wyobrażenie o świecie— ale jest-że dziś kto, cohy śmiał cenić człowieka z czego innego, jak z niego samego?

—Cożem ja wart! łamiąc ręce rzekł Eustachy. Czyżem zasłużył sam na co więcćj nad litość?—

—O! z mojej strony— żywo przerwała Misia, daleko więcćj, bo na wdzięczność, bo na— na ustach już miała straszne i nie wyrachowanych skutków wyznaczenie, gdy Alfred, który odszedłszy niepokoił się o tych, których sam na sam zostawił, wpadł pośpiesznie do pokoju. Rzutem oka po obu twarzach, wyczytał, że rozmowa nie musiała być obojętną,

ale poznać nie mógł, na czém się prze-
rwała.

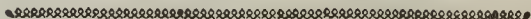
—Jedziemy, zawolał wesoło niby—
Bądź zdrowa kochana kuzynko— jedzie-
my do Skaly—dobry mój Enstachy, obie-
cał mi tam kilka dni, może dłużej za-
bawić—Czekają na mnie moi chorzy,
wczoraj odebrałem wiadomość, że w jed-
nój z wiosek pokazała się cholera— Nasz
obowiązek śpieszyć na ratunek, to ci
tłómaczy mój pośpiech—pożegnanie było
prawie obojętne, tak wszyscy nieprzy-
tomni.—Zaledwie drzwi się zamknęły za
nimi, Misia wypadła do pokoiów, z po-
koiów w ogród i skryła się w zarosłych
ulicach. Pani des Roches każdy krok
jēj śledząca, pośpieszyła za nią. Tym-
czasem dzwonki pocztowe oddalając się
coraz, mierzyły odległość, którą powóz
Alfreda na pocztowej drodze ubiegał.

Michalina otworzyła z bijącym sercem
furtkę na trakt wychodzącą—jeszcze raz

chciała go zobaczyć—jeszcze raz—Ale jak cię przeniknęły się przed nią rozpuszczone konie i niczyjój nawet nie dostrzegła twarzy, bo Eustachy w głębi wozu weśnięty, udawał snem znużonego—Alfred tylko dojrzał sukni u furtki, i rzekł w sobie z westchnieniem—Jest to więc szal niepokonany.

Wieczorem Enstachy leżał nieprzytomny na łóżku, a Alfred czuwał nad nim—Gwałtowna gorączka wzmagająca się z każdą wieczorną godziną, nie dająca się niczém przerwać i wstrzymać w postępie, olbrzymiemi kroki szła, wyrwając siły, zmysły, rozum—pamięć.—





IX.

LAT dziesięć upłynęło.

Eustachy wyjechawszy ze Skaly, po długiej rozmowie tajemnej z Alfredem, która całą noc trwała, nie pokazał się więcej.

Tymczasem wiele się rzeczy zmieniło.—

Stary Hrabia dowiedział się, kto go uratował, ale pomimo to, nigdy nie wspomniał Eustachego, nigdy o niego nie pytał.

Alfred pozostał w Skale, często bardzo odwiedzając stryja, poufały z Michaliną, ale nie zdając się starać ani o

jéj serce, ani o rękę. Inni pretendenci, których zwabiał rosnący majątek, przesuwali się jedni po drugich, śladu po sobie nie zostawując. Wielu z nich życzył sobie Hrabia, ale Misia stanowczo powiedziała, że nie wyjdzie za nikogo przymuszona i w najważniejszym kroku życia, chce być swobodną.

Gdy rok za rokiem płynął, a wyboru nie czyniła, ojciec począł się dęczyć. Jednego poranku ośmielił się wręczyć córce, że czas byłoby uczynić wybór.—

—Zostawcie to mnie, odpowiedziała.—

Nieśmiał nalegać.

Najznakomitsi współubiegacze, po jakim czasie usunęli się i znikli, nowi nie pokazywali chyba z rzadka. Dziwne wieści poczęły krążyć o Hrabiance. Ojciec chciałby był już, chociażby Alfreda, zwłaszcza, że Alfred od powrotu z zagranicy, na dobrym stopniu, posta-

wił swoje interessa i jak to mówią, robił majątek.

Nie próbując już przynaglać córki; Hrabia wygrał się do Skąły, i namienil Alfredowi, że dane jego ojcu na łożu śmiertelném słowo, dotrzymaném być musi— że czas coś postanowić.— Ja— rzekł Alfred— z wdzięcznością przyjmę spełnienie jego— ale nie inaczej, aż Michalina na to dobrowolnie zezwoli.—

—Staraj się o nią!

—Staralem, odpowiedział synowiec, ale zdaje mi się na próżno.—

—Mogę jej powiedzieć, żeś mi się o nią oświadczył?

—Z tém, że miałbym sobie za szczęście ten związek, gdyby nań chciała, z dobrej woli pozwolić. Ale nie jej wiązać nie powinno, ani ciebie kochany stryju, ani słowo dane, ani żaden inny wzgląd.

Hrabia odjechał, niemogąc pojąć, dla

czego mu było tak trudno, wydać piękną, młodą, miłą, bogatą córkę; dla czego Alfred tak zimno przyjął jego propozycję.

Nazajutrz oświadczył córce.—

—Pomówię o tém z Alfredem, odpowiedziała, niech przyjedzie.

Dano mu znać, pośpieszył, Hrabia niecierpliwie wyglądał końca.

Wieczorem Misia została sam na sam z bratem.

—Prawda to? spytała go—że oświadczyłeś się ojcu o moją rękę?—

—Oświadczyłem, że byłbym szczęśliwy z tego związku, ale z tém, jeśli byś go także żądała i zezwoliła dobrowolnie, na nie a na nie się nie oglądając. Jeśli zasłużył na trochę przywiązania, litości.—

—Ty wiesz Alfredzie, co się w moim sercu dzieje, przerwała, kilka lat ubiegłych nie zmieniły mnie, odebrały

tylko jeśli kiedy jaka być mogła, nadzieję, obrały z marzeń ludzących— dziś jak dawniej kocham go, jeśli z tą chorobą serca, z tym wiecznym smutkiem i tęsknotą, chcesz mnie wziąć jako przyjaciółkę, jako towarzyszkę; jeśli chcesz moim urzędowym zostać obrońcą— będę twoją. Dla ciebie więcej szacunku, więcej mam przywiązania, niż dla innych— Gdyby nie on— czuję to, byłabym cię kochała - Chcesz-że mnie wziąć tak?

Alfred zamilkł.

—Jest to czas na wyznania— moja drogasiostrzyeczko—Ja cię kocham dawno.—

—Wiedzialam o tém.

—Spodziewalem się, że czas może, oddalenie.

—Nie! nie! nigdy! żywo przerwała Michalina— Kto kocha jak ja, ten kocha na wieki.

Alfred smutnie opuścił głowę.

—Rażesz mi przestać na ręce, kiedy chciał serca— Powinienbym cofnąć się— nie mam siły.

Michalina z litością spójrzała na szlachetną twarz brata, którą ciężki ale tony okrywał smutek.

—Pójdziem więc dalej, razem,— odpowiedziała.—

—Pójdziemy!

To przyrzeczenie przedślubne wyrzeczone było smutnie, tęskno; a po niém długie nastąpiło milczenie.

—Widzisz jak jestem otwartą— dodała ona— ty jeden z moich ust własnych dowiedziałeś się tajemnicy; powtarzam ci dziś jeszcze, że go kocham. Nie miej mi za złe ani tęsknoty, ani przywiązania, ani smutku mego. Kto wie—będę walczyć z sobą— Teraz przyjaźń masz moją i przywiązanie siostry.

—I to mi drogiem— gdy nie więcej mieć nie mogę.

—Ślub nasz odbędzie się cicho, skromnie i przy familij tylko—pojedziemy potém do Skąły— Nie robmy ani wielkich przygotowań, ani szumnego wesela? nie prawdaż!

—Rób jak ci się podoba, ja zezwalam na wszystko.

Na tém się skończyły przedślubne układy. Ale Hrabia pojąć nie mógł, dla czego Misia i Alfred upierali się przy cichém i tajemném prawie weselu. Największa walka była o to; Misia przecież postawiła na swoim. Kilka osób pokrewnych, Pani Krystyna, jój córka, zjechali się tylko—Ślub odbył się rano w kaplicy, a po obiedzie państwo młodzi, wedle życzenia odjechali do Skąły.

To było trochę *à l'anglaise*; Hrabia więc nic nie miał przeciwko temu.

Pożycie nowych małżonków, było ciche, spokojne, powiedziałbym szczęśliwe, gdybyśmy do wyrazu szczęścia

nie przywiązywali znaczenia ogromnego, znaczenia co swym ciężarem kruszy noszące je słówko. Nie było to więc szczęście, ale spokój — Oboje nie zmienili trybu życia, ani humoru, ani myśli. — Stary Hrabia poglądając na nich, zwykł był mawiać, że nie widział w życiu tak dystygnowanego małżeństwa, tak *przyzwoicie* szczęśliwych ludzi. Tyle się też cieszył i tak głęboko poruszył, że nie mogąc strawić swojego szczęścia i pasztetu strasburskiego z boloúskimi salcesonami, obficie na śniadaniu zjedzonego; zachorował, pobłogosławił, umarł. —

Nie czujemy się w obowiązku opisywać, ani leżwylanych, ani wspaniałego pogrzebu i kazania pochwalnego, ani sutój żaloby sprawionój — Michalina wkrótce potem, osadziła na kawalku nadanego gruntu, krewnych Eustachego, nwalniając ich zupełnie. W ten sposób objawiła, że jeszcze pamięta o Eustachym.

Alfred przyłożył się do tego dobrego uczynku, dając sowitą zapomogę. Państwo młodzi przenieśli się ze Skaly, do znajomój nam z téj powieści wioski.

Michalina pozostała spokojuie smutną— Alfred pracował. Tajemnie starał się on dostać wieści o przyjacielu, ale napróżuo— Kończył się lat dziesiątek, jakieśmy wyżej powiedzieli, a wiedzieć nie było można, co się z nim stało.





X.

PIEKNY ranek wiosenny, świecił nad uroczém Podolem. Kraina, którą Trembecki nazwał płynącą mlekiem i miodem, jaśniała w téj chwili więcej niż bogactwy swemi, bo nieśmiertelną pięknością.— Jój wzgórza i góry, skały, jary, strumienie, rzeki, doliny i stare rozwalone zamczyska i zielone lasy dębowe, w całej były krasie i młodocianym wdzięku. —

W oddaleniu na wchodzącój chmurze, bielaly wieże Kamieńca, wysoka dominikańska poważna dzwonnica, i smukły minarecik Katedralny; i tłum domów, co

ścisnięte na téj dziwnie wyrosłej skale, zdają się tulić do siebie, i świadczyć o niebezpieczeństwie od Turka.

Bliżej nas ostrąkrągłemi wierzchołkami swych baszt ciemnieje stare zameczysko — Powóz szczęścia koni zaprzężony zwolna zbliża się ku miastu, z ciekawością wygląda z niego piękna głowa mężczyzny i piękniejsza główka kobieca. Coraz widoczniej rysują się nagromadzone na skale mury, kościoły i ruiny; coraz wydatniej widać wspaniały zamek.

Wysiedli nakoniec i pieszo z wzruszeniem jakiego doznaje każdy na widok niespodzianego cudnego widoku — przechodzą część drogi dzielącą ich od tak zwanego Djabelskiego mostu. — Jest to tureckich zapewne czasów dzieło, wiążące miasto z dawną fortecą; potężny mur niezmiernéj wysokości, wązkim przesmykiem wiodący z zamku do Kamieńca właściwego. Spodem szumi obie-

gająca skalę do kola rzeka, a cbatki rozsypane w dole, bieleją gdzieś gdzie po przyczepiane w głębi, po bokach gór, jak jaskółcze gniazdko. Widok zachwycający!

Nie dziw że Alfred i Misia, długo tu pozostali w zadumanin i zachwycie.—

Ale to tylko pierwszy widok nieporównanego Kamieńca— Cały dzień potem, musieli, posłuszni ciekawości, obchodzić tę relikwję przeszłości, ten drogi zabytek dawnych czasów, który jak wszystko na świecie zrzuci powoli starą szatę, aby wdziać nową, ściera z czoła pamiątki, by się inaczej nstroić.—

Niewiem czy które z miast naszych, pochwilić się może tylą pamiątki dawnymi, co Kamieniec. Na każdej uliczce, zastanawiają cię, to stare herby rylce na kamieniu, to, napisy, to znaki, to podania. Do kola rozwaliny przepyszne obronnych murów, baszt, mostu zwa-

nego Wycieczką, pięknych bram; zatrzymują, każą dumać o przeszłości. Zewsząd widoki tak piękne, wielkie, malownicze! Ale nieczémby one były bez tych piętn drogich, które spotykasz wyciśnięte wszędzie.

Tam herb, tam napis, ówdzie kształt budowy, znak, data, wstrzymują—zadziwiają. W żadném z naszych miast niema ich tyle;—i z tak różnych epok. Postrzegasz tu obok Stanisławowskich, Jagiełońskie orły i tureckie cyfry—na Bramie Polskiej stare herbowne znaki, mówią do ciebie językiem XVI wieku. Gdzieindziej—oto domostwo pobytam Stanisława Augusta nacechowane! biedne—niema się czém chwalić; w kratkach drugiego, czytasz herby litewskiej xiążęcej familij; z rozwalin sądowniczego domu nad okny mówi ci jeszcze poważny, wspaniały głos przeszłości.—

Nolite judicare.—

Ówdzie jakby dziwaczną igraszkę nad drzwiami gmachu służącego do obrad szlacheckich, wmurowano kamień, sztydersko mruczący:

Domine! conserva nos in pace.

I ta prośba utrapionych od Turka wiejskich Kamieńców, zmieniła się w wykrzyk satyryczny.—

Począwszy od Karwasarów, od polskich folwarków, gdzie stąpisz zdumiewasz się pamiątkom i ich liczbie, na tak szczupłej przestrzeni nagromadzonej. W Wietrznój bramie, którą od polskich folwarków do miasta się dojeżdża, zastanawia napis, a bardziej jeszcze reszty krytego mostu i ślicznych ruin. Ztąd cudny widok! Te skały jakby ręką ludzką obcięte w ściany proste, pokrajane ścieżkami, zdają się wielkiem mrówiskiem, wśród którego suną się małe mrówki—Co za widok z wałów! A wszędzie kamień każdy prawie potracony no-

gą, zarosły mchem może, zamazany, zalepiony, uszkodzony, zniszczony umyślnie— zawiera napis, pamiątkę.—

Dwie osobliwsze i jedyne u nas pozostałości tureckie, zwracają nadewszystko uwagę. Jest to cudnej piękności w swoim rodzaju, z jednój ogromnój bryły granitu, wykuta kazalnica w dominikańskim kościele—naprzód. Zdobi ją na wejściu, złożony napis z alkoranu. Oryginalność rysunku, delikatność wykonania, opisać się nie dają, potrzeba ją widzieć. Szkoda, wielce szkoda, że ją niefortunnie pobielono, że w środku podostawiano aniolki— Należało ją zachować jak była, bez najmniejszej odmiany— Kapłan katolicki kazający z tego miejsca, byłby jój najpiękniejszą ozdobą.

W katedrze, jak świeca przyklepiony do jój boku, cieniuchny, smukły, wybiega do góry minarecik prześliczny. Na wierzchołku jego był wieżyczek i pozostał;

ale na wieżycu postawiono Matkę Bożą. Co za myśl poetyczna! Wewnątrz kręcone schodki, których jest przeszło półtorasta, wiodą na ganczek, z którego Muezzin na modlitwę wołał. Ciemne, wspaniałe wnętrze katedry, stare jej sklepienia, wielkie też czynią wrażenie.

Cały dzień Alfred z Michaliną przechodzili Kamieniec, z końca w koniec, powracając, zastanawiając się, zachwycając. Nareszcie znużeni usiedli na walach.— Tu mogli odpocząć, otoczeni widokiem dziwnej piękności.— Myśl urządzenia przechadzki w tém miejscu należy do najszczęśliwszych, szkoda tylko, że stare szczęty murów, których dosyć strzedz, zachowywać nigdy nie można, zapewne w części poświęcone być musiały. Wiele z nich użyto szczęśliwie— nie powiemy tego o rzeźbach mających zdobić to miejsce.—

Zamek w całej się ztąd swój starożyt-

nój maluje krasie—Wspomnienia cisną się tłumnio.

— Imiona liczne wywołuje pamięć— najslawniejsze na wieki zgasły; a na ich miejsce mamy imiona tych łacono zbogaconych, nie wiedzieć z kąd przybyszów; co zamierzywszy sobie porobić majątki, nie rachują wcale, nie mają za obowiązek być czémkolwiek sławni i użyteczni.— Myśleć o dobru nie swoim, powszechném—stało się śmiesznością.— Nie tak, o nie tak dawniej bywało, słynne dawniej imiona, zdobyły krwią i ofiarami sławę swoją.— —

Tak myślał Alfred, przypominając, ile się krwi polskiej pod Kamieńcem, Chocimem, na Wołoszczyźnie, w Bukowinie, wylało; a krew to była najzaczniejszych—Dziśby może od nowych panów i panów kropli jednę nie wyebrało niebezpieczeństwo—Wiele zła przyczyną dla kraju, była dumna i sa-

molubna arystokracja, ale obok niego stają i czyny wielkie i poświęcenia bez liku— A czas pomniejsza winy, podnosi heroizm.— —

Z imiony sławnemi, zeszło poświęcenie dawne.—

Wśród tych dumiań, natrętnie cisnących się nagle wstrząsnął się Alfred, odwrócił, poskoczył z ławki, na której siedział z żoną.

Dziwnie ubrany człowiek mimo nich się przemknął, rzut oka na twarz jego, zastanowił go, poruszył.—

Misia także spójrzała, zbladła— odwróciła się— przechodzący zniknął.

Ubrany bardzo po prostu, w sukni wieśniaczéj, z kijem w ręku, w słomianym kapeluszu, człowiek ten tak przypominający Eustachego, skrył się pomiędzy drzewy.

Z początku chciał za nim gonić Alfred, ale po chwili rozwagi, pozostał w miej-

sen. Oboje go widzieli, ale każde z nich ukryło w sobie niespodzianą radość i niepokój. Długo pozostali na ławie, spodziewając się go zobaczyć, powolnie przechodzili ulice, myśląc, że go trafem spotkają—napróżno.—

Wieczorem puścili się w dalszą drogę.

Znacie zapewne malownicze Podolskie okolice? Grzechemby było zwiedzać dalekie kraje, a nienacieszyć się wprzód swojej ziemi pięknnością?—Możemy nią słusznie być dumni, a artysta coby tam pojechał szukać natchnienia i zbierać pamiątki, z obfitym wróciłby płonem.

W bliskości stolicy Podolskiej, Alfred z Misią, stanęli u krewnych, gdzie zabawić mieli dni kilka.—On, artysta duszą, obiegał pierwszy raz widząc, tak nowy dla siebie kraj—z kijem w ręku puszczał się w jary, zwiedzał pieczary i ruiny; siadał na skał wierzchołku osnu-

wając wzrokiem pełne rozmaitości obrazy.

Jednego dnia, ku wieczorowi przy wypogodzoném niebie, pociągającym od wschodu chłodnym wietrze; dalej niż zwyczajnie zapuścił się ciekawy. Każde wzgórze nęciło go, nowy obiecując widok, kształty skalistych pokładów z pod rozdartej sterczących ziemi, tak rozmaite, tak dziwaczne włókły go dalej a dalej; szczególnością swoją. Rośliny lasów i jarów to wonne, to wdzięczne kształtami i barwą, to rzadkością zastanawiające, wyzywały ku sobie. Ze wzgórza na wzgórze, z lasu w las, ze skały na skałę wdzierając się Alfred nareście zablądził. Zachodzące słońce skierować go mogło wprawdzie, ale niedokładnie zdawał sobie sprawę z przebytej drogi. Zmęczony usiadł na kamieniu, myśląc jak to tam o niego niespokojni będą, jeśli się z powrotem przypóźni.— Przecho-

dzący wieśniak widząc go siedzącego na górze, zastanowił się, pokłonił i spytał.

—A czy nie zablądził pan?

—Prawie, mój kochany—nie dobrze wiem, jak się nazad do N. dostanę, a trzebaby mi spocząć.

—Tohyscie mogli, tu niedaleko u Bondarczuka spocząć.

Na imie tak znane, chociaż tak pospolite, że się w każdej wsi prawie znajdzie, zastanowił się Alfred.—

—Gdzież to ten Bondarczuk?

—W jarze, nie daleko, ot tam widać chutorek.—

—Cóż to poddany czyj?

—A Bóg go wie!

—Gospodarz?

—Nie panie, tak dobry człowiek, co go nam pan Bóg nie wiem zkąd, jakby z nieba spaścił.—Osiadł sobie w tym jarze, pobudował dominę, zagroził sadek, osadził pszczoły.—

Alfred poczał się domyślać, że niespodzianie może natrafić przecie na kryjówkę przyjaciela; coraz bardziej utwierdzał się w téj myśli, i zsunąwszy się z siedzenia zbliżył do wieśniaka, usiłując wybadać.—

—Stary to człowiek? spytał.

—Zdaje się nie stary, choć mu broda wieku dodaje— Ot, może waszych lat— Nikt nie wie z kąd przyszedł, jak mu pozwolono tego kawałka ziemi— Dla nas sąsiadów, Pan Bóg go dal, bo czy poradzić się o co, czy w chorobie poratować, czy w biedzie dopomódz, przywykliśmy do niego. Ot i ja zasięgnę się siekierą w nogę; zatém i idę— Zna on ziola, ma plastry i wielu ludziom pomaga— Moja siostra chorzała bez nadziei, co ją i dwór leczył i cyrulik, nic nie pomogło, aż on dopiero, jakem mu powiedział, coś napisał, (bo taki i pisać umie) kazał zanieść do Kamieńca. A tam

się bardzo kiwając głowami dziwowali, dziwowali, i dali flaszeczkę—Ledwie jój pół wypila, wstała na nogi. I nie nam to jednym pomoeńy, wszysej taki BOGA za niego proszą.

Z tego opowiadania, utwierdzał się Alfred w przekonaniu, że przypadek dziwny, szczęśliwym trafem, zbliżył go do dawno niewidzianego przyjaciela.

Z bijącym sercem, szedł ścieżynką głębią jaru wydeptaną, ku chutorowi wskazanemu. Słońce się było skryło za wzgórze, i ostatnie blaski jego, na wierzchołkach drzew świeciły; jar cały ciemniał już w pomroce i chłodnym zionął powietrzem dolin. Rozkwitłe melissy, głogi i inne kwiaty, napelniały woń powietrzem. Gęsto poplątane brzozy, dęby, leszczyna osłaniały domek przed okiem; siny tylko dymu pasczek wlatujący do góry, zwiastował ludzkie mieszkanie. Zbliżyli się wręście pod opa-

sujący sadybę wał oplątany tarnem i wrota proste, które wieśniak otworzył. Tu dopiero odkryła się oczom Alfreda maleńka biała chatka o dwójgu oknach, jednych drzwiczkach, z kominkiem nad słomiany dach wystającym — Dwa stare krzywe dęby osłaniały ją liśćmi swemi, a zarośla gęste opasywały po za wałem. — Góra skalista od północy z wystającymi szaremi złomami, które zieloną jej przebijały szatę, zakrywała do reszty tę ustronń tajemniczą. Z pomiędzy skal cieńki, czysty strumyk wody ściekał na kamienie i rozlewał się w głębi jaru, głęboko wyrytém korytem. Ciszę cudnego wieczora, przerywał tylko szmer kołyszących się od powiewu wiatru drzew. Weszli w podwórko — pies zaszczał u progu, podniósł głowę i pozostał z wytrzeszczonemi oczyma, jakby chciał rozpoznać przychodniów.

Maleńki ten domek, za ledwie porząd-

na mogący się nazwać chatą, przypierał do drugiejj niewielkiejj także budowy— Obie otaczał ogródek zasadzony owocowemi drzewkami, warzywem, lekarskiemi roślinami. Ule słomiane, stały w nim kilką rzędami. Pod starym dębem, wielki kawał skały rzucony jakby umyślnie, służył za ławkę.—

Zbliżyli się do drzwi. Małcúka sionka przedzielała domek na dwie części— wieśniak wskazał w lewo Alfredowi. On już nie wątpił, że znajdzie po dieściu latach rozstania, dawnego towarzysza młodości; serce zabiło mu, gdy ręką sięgał za klamkę.

Otworzył. W małeńkiejj izdebce dwóma oknami z dwóch stron oświeconéjj, białéjj, czystéjj, ale wcale nie ozdobnéjj, nad stołem siedział mężczyzna— ten sam, którego Alfred przypadkiem spotkał w Kamieńcu. Sparty był nad otwartą książką. Ubrany po wieśniaczemu, z zapuszczo-

na złotawą brodą, z obnażoną prawie i wypełzłą głową, z zapadłemi blademi policzki, dumał.— Zestarzał się — odmienił.—

W téj izbie nie było prócz stołu, ławki, dwóch prostych stolików drewnianych, półki z kilką książkami i maleńkiej apteczki.— Nad kominem wisiał portret litografowany Alfreda z uniwersyteckich czasów.

Na stuk otwierających się drzwi, Ostap odwrócił głowę, poznał Alfreda, zakrzyknął i skoczył ku niemu z otwartemi rękoma.

—Ty tutaj! zawołał— ty u mnie!

I w długim uścisku, przerwało się powitanie.

Przybyły opowiedział jakim sposobem jak przypadkowo odkrył mieszkanie Eustachego. Tysiące pytań z obu stron zadano, i wiele razy odpowiedź

na nie, smutkiem powiała po twarzach.—

—Jak dawno tu mieszkasz? zapytał Alfred.—

—Kilka lat, rzekł Ostap. W tamtęj stronie, sam wiesz zostać mi było nie podobna; szukałem odkrycia, znalazłem, kupilem kawaleczek ziemi, pobudowałem się jak dla mnie przystało—jestem spokojny i rad memu położeniu. Blisko tych, których zowie braćmi, jestem ich doradcą, lekarzem, nauczycielem, pocieszycielem i nie wielkim kosztem—dobroczyńcą! mogłoż mi być lepiej gdzie indziej? Wątpię— Chodź zobacz mój ogródek.—

Wyszli, pod stary dąb, gdzie leżał złom skały i tu dostrzegł Alfred wykutęj w górze głębokięj pieczary, ciągnącęj się daleko, chmielem u wnijścia obrosłęj, która tło ogródka stanowiła— Po

nad nią był krzyż z prostych dwu kłóców dębowych złożony, pod krzyżem drugi do siedzenia kamień. Drożyna wąziuchna wiodła ku niemu. Krótko tu po-
bywszy, poczuł Alfred, jak szczęśliwe mogło być życie w takim ustroniu, dla człowieka, który musiał szukać samotności, bo go świat przyjąłby niechęcią.—

—Chcesz wiedzieć, jak życie wiodę? rzekł Enstachy— Dzień po dniu płyną jednako, powolnie zdaje się, a jednak nieznacznie ku celowi, ku śmierci wiodąc.— Sam jeden ze starym sługą, który się skazał na to mnisze wygnanie ze mną, ze psem co strzeże wrót, mieszkam rok cały. Rzadko potrzeba jaka wywoła mnie do bliskiego miasta. Ludzie z sąsiedztwa codzień przychodzą po rady, po leki; to dla mnie najmilszém zajęciem. Czasem z kijem ruszam po wioskach i sam szukam chorych; a ile razy uratuję matkę, ojca, dziccię, tylekroć

blogosławie cię, żeś mi pozwolił uczyć się z sobą. Resztę godzin pielęgnuję pszczoły, czytam, kopię w ogrodzie— Proste życie! Nie insze być musiało, owe dawnych mnichów, z którego śmieje się dzisiejsza cywilizacja!

Ileż to razy na myśl mi przychodziła, nieodzowna klasztorów potrzeba— Można łatwo z protestantami razem szydzić z mnichów i cenobjów, ale wiele to ludzi, pokój w nich, którego próżno gdzieś indziej szukali, znalazło!—

Wysławszy wieśniaka z kartką do żony. Alfred pozostał na noc na Bondarczukowym chutorze (tak go nazywano w okolicy) — W późną noc wspomnienia młodości, opowiadania zaszłych wypadków, w znajomój okolicy, zajęły ich— Nazajutrz rano rozstać się mieli znowu— Bez widocznej boleści, spokojnie, przyjął Ostap wiadomość o zamęźciu Michailiny, nie dał poznać nawet po sobie, że

go z nią inne nad wdzięczności węzły łączyły.—

Śmierć Hrabiego, uwolnienie krewnych przez Michalinę, do łez go poruszały— i nie dziw; samotność podnosi człowieka, miękczy, exaltuje— Ciągłem ocieraniem się o świat, tracim władzę uczucia czegokolwiek głęboko i zużywamy się, twardniejem, serce dostaje nagmiotków— w samotności mniej targani w różne strony, mniej szafując sobą, skupiając się i ogniskując w duszy własnej, zdolniejsi jesteśmy uczuć potém silnie, cokolwiek nas dotknie. Wszelkie wrażenie mocniejsze jest i trwalsze— Ostap też płakał, gdy Alfred prawie chłodno, dotykał najważniejszych wypadków i lży nad nieczém wylać nie umiał.

Słońce wschodziło za górą, gdy przeprowadzony przez Ostapę, wyszedł Alfred z gościny ubogićj.—

—Znalazłem cię, mówił w drodze—
widzieliśmy się znowu— czemużbyś kie-
dy ty także do nas, do swoich, do tych,
co cię kochają nie przyszedł?

—Nigdy! nigdy!— odrzekł Ostap—
Przysiągłem pustyni—zostaw mnie w niej.
Po co ja tam? Mnie tu lepiej— wierz
mi.—

—Ale pustelnicy przecie, mnichy, wy-
chodzili nieraz na świat— Czemużbyś ty
dobrowolny cenobito, nie miał nań wyj-
rzyć?

—Odwykłem od niego, nie jestem już
tym berlińskiego uniwersytetu wycho-
wańcem, którego znałeś dawniej. Suk-
nia inna, myśli inne— wszystko się we
mnie odmieniło. Jedno pozostało daw-
ne— przyjaźń i wdzięczność dla cichie—
i przekonanie, że między wami, nie ma
tam miejsca dla mnie.

Bądź zdrow.—

Ścieżka wychodziła z jaru—scisnęli się za ręce,—rozstali.

Na tém się kończy pierwsza epoka życia Ostapa Bondarczuka.

K O N I E C.







Spis Rozdziałów.



	<i>Stron.</i>
I.	7
II.	38
III.	67
IV.	100
V.	130
VI.	167
VII.	192
VIII.	216
IX.	230
X.	239









Biblioteka Raczyńskich

JIK 304



JIK0304